Nr. 10. Lwów, Niedziela dnia 22. listopada 1874 r. **Rok I.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr., półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

IX.

Ogródki Froeblowskie.

I. Wrażenia doznane w latach dziecięcych, tak silnie spajają się z naturą człowieka, tak głęboko wciskają się na dno duszy, że często śród życia daremnie silić się nam wypadnie, by je z istoty swojej wydzielić. Od natury tych wrażeń, zawisła częstokroć natura temperamentu, a nawet nierzadko i charakteru. Skłonności dziecku wrodzone, rozwijają się pod wpływem świata zewnętrznego, jaki je otacza, a świat ten zdolen wrodzone zasoby albo rozwinąć i na właściwą skierować drogę, albo zgnieść je, lub zatruć. Ztąd też niemałem jest dla rodziców zadaniem, w y c h o w a n i e dziecka do lat sześciu lub siedmiu, t. j. do chwili, w której n a u c z a n i e ma się rozpocząć. Nie wszyscy rodzice zadanie to pojmują, nie wszyscy je rozumieją—a są tacy po większej części, którym się zdaje, że dziecko do lat siedmiu, żadnego nie potrzebuje wychowania w znaczeniu pedagogicznem.

Był czas, że nazywali nas sąsiedzi „narodem poetów, idealistów,“ mybyśmy się „narodem dyletantów“ śmiało nazwać mogli. Dyletantyzm u nas na każdym kroku, dyletantyzm i w tem, co najświętszym jest dla rodziców do spełnienia obowiązkiem: w wychowaniu dzieci. Dyletantyzm jest wygodnym dla naszej leniwej natury, bo ubiera nieświadomość rzeczy w błyszczące znawstwa pozory, a własne stara się uspokoić sumienie w imię „dobrych chęci.“ Jakież to rzadkie wyjątki, jeżeli się znajdzie w którym z domów naszych podręcznik jaki pedagogiczny, lub co więcej: cierpliwość, wytrwałość i silna wola, aby w myśl niego postępować. Zasłaniać lubimy się paradoksalnem zdaniem: „tak mnie ojciec wychował, tak i ja moje dziecko wychowam“—a zapominamy, że ojciec jeździł do miasta dryndulką, my jeździmy koleją żelazną. Świat się doskonali, postępuje i do skarbów zdobyczy cywilizatorskich, z dniem każdym nowe dorzuca precjoza. Jeżeli wolimy jazdę koleją, zamiast dawnej na dryndulkach, jeżeli milszą nam jasna latarnia gazowa, niż brudny płomień z oliwy, toćby też może zastanowić się wypadło, czyby też nowe zdobycze cywilizacji na polu czysto moralnem, nie były nam wygodniejsze i pożyteczniejsze, od zdartych w kawały wyobrażeń, tradycyjnie podawanych z pokolenia w pokolenie. O ileż wyżej pod tym względem stanęli Niemcy. Jakiż tam ruch w literaturze pedagogicznej, a ruch ten wywołała potrzeba ulepszeń w sprawach wychowania, ogólne a głębokie poczucie i poznanie całej tej olbrzymiej doniosłości zadania pedagogicznego, jakie się rodzicom dostało w udziele. Przyznać potrzeba, że pod względem dydaktycznym, jest u nas poprawa z lenistwa, postęp ku lepszemu, ale to zasługa młodszego pokolenia w nauczycielstwie, zasługa garstki inteligencji. Pedagogja atoli drzymie i jakoś nie ma jeszcze dość silnego głosu, by ją zbudził, dość silnej dłoni, by ją podniosła z kołyski. Matki się chlubią: „wychowałam dziecko, jakie silne, zdrowe, piękne!“ ojcowie wtórują słowom matek — ani jedno, ni drugie nie pomni, że w tem dziecku złożył Bóg i duszę. Nie pomną rodzice, że to ziarno boże należy troskliwie pielęgnować, że gdy kiełkować zacznie w roślinkę, trzeba mu słońca i gleby pszennej.

Gdy dziecko w domu żywe, psuje zabawki— a w braku tychże sięga po rzeczy potrzebne, do użytku domowego służące, gniewają się rodzice, karcą dziecinę, narzekają na żywość dziecka, a wreszcie pocieszają się: „pójdzie do szkoły, to się ustatkuje“. Dziecko to, mimo — iż je niegrzecznem bezustannie nazywają, niegrzecznem nie jest wcale. Ono spełnia po prostu, co mu natura spełniać każe, t. j. szuka zajęcia w zabawce, psuje ją, bo to jedyne pole działalności dziecięcej, psuje ją — bo chce samodzielnie tworzyć z niej rzecz inną. Widzimy, że w dziecku rozbudzając się władze duchowe, szukają sobie pola, gdzieby samodzielnie rozwijać się mogły. Drzewo pragnie swobodnie rozrastać w gałęzie, stroić się liściem. Tłumione w rozroście z góry, lub z boku przez inne drzewo, lub jaki budynek, rozrasta krzywo, wygina się — lecz rośnie — i chociaż skarłowaciałe, żyje. — Dziecko, u którego nierozważni rodzice tłumią objawy budzącego się życia, t ł u m i ą budzącą się samodzielność, zamiast nią k i e r o w a ć, samodzielnem być nieprzestanie, ale skrzywi się, skarłowacieje. Ileż to w życiu spotykamy zmarnowanych talentów, skrzywionych charakterów, głów ograniczonych, serc wyziębionych, spopielałych w zarodku! Winno temu wychowanie.

Zdolność wychowywania nie jest wynikiem natury ludzkiej, lecz rezultatem studjów, a studja te tem ważniejsze, że do najważniejszego zawodu posłużyć mają, że od funkcjowania w tym zawodzie dobro ludzkości zawisło. Że pod tym względem tak wiele u nas niedostatków, pochodzi ztąd, że mięszamy pojęcia: n a u c z a n i e i w y c h o w y w a n i e.

W dalszym szeregu artykułów będziemy się starali wyjaśnić różnicę tych dwóch pojęć i w jaki sposób wychowywanie odbywać się winno, na zasadzie ogródków Froeblowskich.

SERCE I RĘKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Zygmunt zerwał się gwałtownie z krzesła i ze zmienioną twarzą, zuchwalszą, straszniejszą, począł się po pokoju przechadzać....

— Ja jestem, rzekł — łagodny i unikam walki... ale — ale w ostatku — można mnie przywieść do rozpaczy, naówczas.

— No — palniesz sobie w łeb?... spytała hrabina — nie zdaje mi się, aby się tego przelękła lub tem zmartwiła....

— Może być coś gorszego — przerwał baron — mogę użyć mej władzy, mogę być przykrym, natrętnym, nieznośnym, dokuczliwym....

— A! a! nadto jesteś... dobrze wychowany, żebyś dla zemsty poświęcał interes.

Ona się tego nie lęka — a to może zerwać nienawistny jej związek. Ojciec który skojarzył, rozerwie go... a... tu szydersko spojrzała na Zygmunta z półuśmiechem i po cichu zakończyła — pan wiesz najlepiej że najmniejszego do niej nie masz prawa... bo żoną pańską jest tylko z imienia.

Zygmunt się zarumienił — chciał spytać zkąd ma tę wiadomość i zamilkł. Ze wszech miar go to strwożyło, bo znać Olimpja się z niczem nie kryła....

— A takie małżeństwo, mogę panu ręczyć, paplała Klara — nie potrzebuje nawet rozwodu i właściwie nie jest żadnem....

— Powinienem się był tego spodziewać, z przekąsem odezwał się Zygmunt, że pani przejdziesz do obozu nieprzyjaciela....

— Ale ja wcale panu źle nie życzę! ofuknęła Klara — przeciwnie — jej i panu jak najlepiej, — a mówię prawdę abyś się darmo nie łudził.

— A zatem? spytał Zygmunt siadając.

— Pokory i cierpliwości! dogmatycznie wyrzekła Klara... wiele pokory, posłuszeństwa i poddania się — woli opatrzności!

Trzeba było słyszeć i widzieć jak nielitościwie szydersko wymówiła te pobożne w końcu wyrazy... Żartowała sobie z biedaka.

— Nawet litości nie masz pani....

— Nad mężczyzną? pochwyciła Klara. To prawda że mieć bym nie powinna, a jednak mam ją — i gotowam pomagać panu, to jest wam obojgu. Na dowód powiem, że ja, co miałam jechać pojutrze ztąd do Włoch, siedzę z wami.... Biorę w opiekę Olimpję, rozbawiam ją, wyrywam ze zgubnej samotności, a panu nastręczam zręczność rehabilitowania się. Trzeba zaczynać od początku! niestety! od wejrzeń, bukietów, westchnień i nowicjatu... cha! cha!

— Albo od najzupełniejszej obojętności! wybuchnął Zygmunt, — pocóż bym znowu miał się tak zamęczać, tak mało mając nadziei skutku? Nie wolęż homeopatycznej użyć metody... pójść sam szaleć, bawić się, a o nią nie troszczyć i dać pani baronowej — carte blanche.

Klara zdumiona przypatrywała mu się z uwagą.

— Wiesz pan że to nie jest tak niedorzeczne jak się zdaje, enfin! któż wie co komu na ból zębów pomoże.... Zyskanie serca to coś takiego jak ukojenie tego bolu.... Jedni używają chłodzących, drudzy rozpalających leków... rób pan co chcesz....

Dobyła zegareczka. — Ale ja muszę się ubierać i iść do Olimpji — więc — bez pożegnania.

Chciał jeszcze coś mówić Zygmunt, hrabina go żegnała już, ukłonił się, wyszedł zły i nadąsany.

Hrabina pobiegła natychmiast do przyjaciółki i z wielkiem swem zdumieniem znalazła ją z Szafrańską, na naradzie nad wyborem rannego ubrania. Olimpja blada była, smutna jeszcze, ale wczorajsza rozmowa z hrabiną, widocznie na nią oddziałała. Życie tłumione przez lat tyle upominało się o swe prawa.... Hrabina dodała ochoty do niego. Dla czego nie miała wytchnąć, spróbować się rozerwać... odżyć na nowo?? Trzpiotowate usposobienie przyjaciółki odbiło się w niej mimowoli. Uścisnęły się serdecznie.

— Wiesz, odezwała się Olimpja, a to mi ciebie, dobra litościwa opatrzność zesłała... moja droga Klarciu? Nieopuszczaj mnie, zaklinam, proszę, to tete à tete z panem Zygmuntem jest dla mnie zabójcze.... Jak cień Banka przeraża mnie ten człowiek... ty rzeczywistość przynosisz z sobą... i rozwiejesz te sny ciężkie....

— Otóż tak to cię kocham — przerwała Klara.... Szafrańska moja... dawaj tu suknie, strój panią, zróbmy ją z pięknej, zachwycającą... idźmy, jedźmy, bawmy się, trzpiotujmy — a pan Zygmunt niech sobie robi co chce.... Zapomnijmy że istnieje....

— A! gdyby to można! cicho rzekła Olimpja....

— Spróbujemy!

Tak się rozpoczął poranek — a hrabinie Klarze nadto na rękę była przygoda podróżna, ażeby zaniedbać miała owładnięcie Olimpją i czynne mięszanie się w jej losy. Nie wyszła już od niej. Naprzód naradę uroczystą złożono co do wyboru rannego ubrania; potem posłano po dziennik aby się dowiedzieć jakie na dziś były środki przepędzenia czasu najzabawniejsze....

Hrabina wnosiła przechadzkę na dosyć spokojnem tego dnia jeziorze, obiad w restauracji w osobnym gabinecie....

— A Zygmunt? spytała Olimpja.

— Niech się zaprosi do Miss Draper, mojego starego koczkodana, jeśli chce mieć towarzystwo! parsknęła śmiechem Klara. My, myślimy o sobie....

— Po obiedzie jedziemy powozem gdzieś w okolice, jest to środek zabicia czasu do wieczora.... Wieczorem przecież gdzieś być musi jakiś teatr?

— Poszukamy.

— Albo koncert! dorzuciła Klara.

— A! ja nie cierpię muzyki....

— Z tego się otrząsnąć potrzeba.... Kochałaś ją, grałaś jak Liszt i Henselt razem, porzuciłaś fortepian i muzykę, któreby dla ciebie mogły być tak nieoszacowanym resursem, dla zerwania ze wspomnieniami kochanka... ale, przeciwnie powinnaś je pielęgnować.... To ci uczyni przyjemność... wypłaczesz się, a długie godziny zajmie ci fortepian... wierz mi.... Na początek — jeśli dziś jest jaki koncert... idziemy nań.

Olimpja sprzeciwiać się nie umiała.... Hrabina zadzwoniła na kelnera....

Wszedł zafryzowany adonis bufetowy... z dewizkami talmi i pierścionkami na palcach....

— Co panie rozkażą?

— Jest dziś jaki koncert?

— Jakto? pani hrabina (kelnerowie wszystkich Rossjan i Polaków nie pytając czczą hrabstwem i sami się z tego potem śmieją) pani hrabina nie wie?... Przecież sławny Ullmann ze swymi wirtuozami...

— Ullmann, z Adeliną Patti!

— I wielu innemi — dodał kelner — tylko że podobno bilety już wszystkie rozkupione.

— Allons donc! zakrzyknęła Klara, quand il n'y en a plus, il y en a toujours. To tylko o cenę chodzi. Proszę żebyśmy miały dwa przynajmniej bilety w pierwszym rzędzie — coute quo coute.

Kelner się skłonił, hrabina podbiegła ku niemu.

— Będę waćpanu osobno za to wdzięczną, — proszę mi kupić dwa bilety koniecznie....

— A dla — pana barona? spytał pełen ostodoksji kelner.

Hrabina parsknęła mu w oczy.

— Pan Baron jeśli zechce sam się sobie o bilet postara.... Allez donc....

Kelner pobiegł. Olimpja nie sprzeciwiała się. Szafrańska tylko słysząc o koncercie załamała ręce....

— A toż trzeba będzie fryzjera i toalety jak na bal... taki koncert... zawołała.

— Postarasz się więc o fryzjera, a toaletę wybiorę ja.... Gdyby jeszcze Olimpja pozwoliła mi un soupçon de rouge....

— Nie — tego nie chcę....

— Ale mączki....

— Ani tej... będę jak mnie Bóg stworzył.

— Zawsze piękną być musisz... a? któż wie? masz może słuszność, ze swą bladością będziesz oryginalną....

W godzinę potem dwie przyjaciółki już się kierowały ku jezioru, gdzie na nie wielka, najęta łódź czekała. Klara prosiła o pozwolenie, na ten jeden raz, zabrania owdowiałej Miss Draper. Wszystkie trzy wymknęły się z hotelu sądząc że na nie nikt nie uważał. W pięć minut potem wpadł baron Zygmunt do Szafrańskiej, która nad porozrzucanemi sukniami stała zadumana.

— Pani? dokąd pani poszła?

— Nie wiem, z hrabiną Klarą....

— Ale możeż być żebyś panna nie wiedziała....

— Cóż to do mnie należy! zimno rzekła Szafrańska odwracając się.

Zygmunt widząc że tu nic nie zyska, pobiegł co prędzej za paniami. Portier wskazał mu w istocie kierunek w jakim poszły. Lecz nie widać ich było.... Zygmunt puścił się na oślep, domyślając że się skierowały ku jezioru, leciał dosyć szybko i miał tę przyjemność, że przybywszy do małego portu przy grobli, gdzie się zwykle zbierają łodzie do najęcia, zobaczył o dobrych parę staji, panie płynące zwolna nad cienistemi brzegi. Klara ukłoniła mu się z daleka.... Zygmunt zrazu z gniewu nie namyślił się co począć, gdy wioślarz przyszedł mu ofiarować swą łódkę....

— A dogonimy tamtą, tak żebyśmy obok niej płynąć mogli? zapytał Zygmunt.

— Za dobry pour boire będziemy się starali.

Rzucił się więc na łódkę nadąsany, a ta natychmiast odbiła od brzegu.

Klara widziała to wszystko....

— Nudziarz będzie nas gonił, rzekła i odezwała się do wioślarzy — moi przyjaciele? czy też my się damy dogonić tej łódce która pewnie ścigać nas będzie....

— Dobry pour boire? szepnął stary wioślarz....

— Bardzo dobry? dodała Olimpja .. ale nie dawajcie się dogonić....

Wioślarze poszeptali z sobą....

Wody jeziora były jak kryształ czyste i spokojne, głębokie jego dno wysłane kredziastemi pokładami, o kilkanaście sążni widać było na wskroś, dziwnemi powleczone

barwami, — wietrzyk nie dotykając wód nad brzegami osłonionemi, zaledwo nieco czuć się dawał górą. Wioślarze prędko podnieśli maleńki maszcik i rozwinęli zapaśny żagiel próbując b r i s' y.... Współzawodnicy na mniejszem czółenku wcale tego przyrządu nie mieli, wygrana pań była pewna.... Żagiel wzdęty niósł łódkę szybko z pomocą wioseł na fale ku środkowi jeziora.... Zygmunt pozostawał widocznie... daleko, a Klara śmiała się klaskając w dłonie i kładła ze śmiechu. Miss Draper nic z tego nie rozumiała.

Ranek był prześliczny, ciepły a nie gorący, brzegi pierwszemi barwy jesieni pomalowane, wody jak gołębie skrzydła mieniące się w tęczowe kolory, w powietrzu falami płynęło życie, wesele... pragnienie szczęścia i nadzieja.... Góry dalekie zdawały się z ametystów wykute... a szmaragdowemi łąki wysadzane i malachitowemi zarosłe lasami.... Gdzie niegdzie daleki ząb z safiru i lapis lazuli, sterczał w opalowej czapie śniegu. Stoki gór... wieńce białych miasteczek u brzegu, złociste piaski u skrajów, wille z wieżyczkami sterczące wśród zieloności ciemnej jak zaczarowane pałace — wszystko to nawet Olimpji potrafiło wyrwać okrzyk podziwienia: jakież to piękne — jakie zachwycające! To sny jakiegoś lepszego świata....

— Widzisz, podchwyciła Klara, natura boża niema, obojętna zdaje się dla ludzi, a stokroć wymowniejszą jest niż my wszyscy.... Ona jak muzyka, mówi językiem który się nie da wytłumaczyć na słowa, ale go dusza rozumie bez pośrednictwa tych zużytych foremek.... Bóg przez nią w serce zbolałe leje balsam pociechy.... Czemuż nie słuchać i nie korzystać z daru Bożego....

Spojrzały mimowolnie ku Zygmuntowi... jakby z obawą by widok jego całej tej przejażdżki nie popsuł — lecz łódka niosąca Cezara i jego losy tak dalece się została za niemi iż zdawała się już nie mieć ochoty kusić się o niemożliwe....

Z założonemi rękami, z ironicznym na ustach uśmiechem, z czołem chmurnem, pan Zygmunt właśnie przekląwszy swą łódkę i wioślarzy uznojonych, prowadził z sobą zajmujący, wcale nie Hamletowski monolog.

— Ślicznie mi się wszystko udaje! niema co mówić! mówił do siebie w duszy — nawet spotkanie z tym trzpiotem które miałem za największe szczęście, staje się urągowiskiem.... Lecz w mojej roli musi wiele być cierpliwości. Pytanie tylko, czy mam się tak koniecznie za nią ubiegać! to śmieszne.... Śmiesznym w jej oczach być nie powinienem....

Kazał wioślarzom grubiańsko dość zawrócić do brzegu.... Łódka zwolna obróciła się znowu ku portowi. Zygmunt dumał płynąc....

— Nie poznaję siebie — mówił — w fałszywej jestem pozycji, splątany... bezsilny — na łasce.... Tak trwać nie może... to się musi zmienić. Z panią Olimpją raz się rozmówić potrzeba stanowczo.... Powinna choć jakieś formy zewnętrzne poszanować.... Jestem śmieszny! powtarzał ciągle — jestem doskonale śmieszny.... Hrabina ma prawo szydzić ze mnie.... Lecz cóż tu począć? Ta kobieta ma wszystko za sobą... ja, nic. Jestem mężem królowej, i to jeszcze — mniemanym.... Stara ta niepoczciwa Szafrańska nawet, obchodzi się ze mną drwiąco i zuchwale.... Ja tu zupełnie nic nie znaczę... ceremonji ze mną nie robią najmniejszej.... Ale to tak pozostać nie może....

Naprożno szukając środka mogącego wyprowadzić z tego położenia, Zygmunt dobił do brzegu i nie oglądając się nawet na łódź tych pań, poszedł gniewny do hotelu.

— Mam przynajmniej prawo, pójść, siąść u niej w salonie, czekać na nią i prosić o chwilę rozmowy.

Powziąwszy to postanowienie, Zygmunt przebiegł wschody pierwszego piętra żywo i wprost podążył do mieszkania żony. Szafrańska właśnie tam sprzątała. Nie pytając jej, nie mówiąc słowa, Zygmunt zabrał miejsce w fotelu przy oknie, rozparł się, wziął gazety porzucone i zaczął czytać.

Po chwili suchy głos Szafrańskiej posłyszał.

— Czy pan Baron tu myśli siedzieć?

— Czy waćpanna myślisz mi zabronić?

— Nie, tylko ja muszę tu sprzątnąć i zawołać dziewczynę ażeby zrobiła porządek. Juściż gdy pani powróci nie można ażeby tak zastała... pełno pyłu... a pan Baron....

W tej chwili dzwoniła na kelnerkę... która weszła ze szczotką i wiaderkiem. Zygmunt rzucił z gniewem gazetę i wyszedł, lecz obiecując sobie powrócić. Szafrańska zaś obiecywała sobie tak się obrachować z porządkowaniem, aby mu i w tem przeszkodzić. Podzielała bowiem nienawiść swej pani do barona. Mściwem a szyderskiem okiem wyprowadziła go za próg.

Zygmunt poszedł do swego mieszkania i wyciągnął się na swoim szezlągu.... Po drodze namówił kelnera aby mu dał znać, gdy te panie zbliżą się do hotelu. Pięciofrankówka była najlepszą rękojmią, że wola jego zostanie spełnioną.

Na pierwszem piętrze Szafrańska kierowała wyporządzeniem gruntownem, kazała dywany pozdejmować i wypylać... zrujnowała salon. Rachowała ona na to, że gdy panie powrócą nie będzie gotowo, a Olimpja przejdzie wprost do sypialni....

Tymczasem przejażdżka po jeziorze nad miarę długo trwała.... Szafrańska nie mogła wstrzymać dziewczyny, i wszystko było czyste i świeże dobrze wprzódy nim się te panie ukazały.... Zygmunt jednak nie nadszedł aż mu dano znać że te panie — idą. Naówczas zbiegł do salonu nie pytając Szafrańskiej i zajął miejsce z miną tryumfującą u okna w fotelu. W chwilę potem otworzyły się drzwi, Olimpja weszła, — sama; Klara z Miss Draper poszły się ubierać. Pierwszy to raz tak się panu Zygmuntowi szczęśliwie jakoś złożyło.

Olimpja od progu zobaczywszy tę nienawistną sobie postać — wzdrygnęła się, po namyśle chciała wprost przejść do sypialni, gdy Zygmunt wstał i ukłonem ją zatrzymał zastępując drogę.

— Pozwoli pani — choćby — na chwilę rozmowy.

Olimpja nie ruszając się z miejsca, nie siadając i nie prosząc siedzieć, milczeniem odpowiedziała dając do zrozumienia że się to pospiesznie odbyć powinno.

— Słucham pana, dodała zimno po chwili.

Szafrańskiej nie było szczęściem w pokoju.

— Czy pani nie widzi — że się narażamy na dziwne sądy i na śmieszność oboje... tak osobliwszym sposobem... bycia?...

— A cóż mnie sądy obcych i ich śmiech obchodzić może? spytała Olimpja.

— Lecz — pewne formy towarzyskie?..

— Wszakże niema w tem wszystkiem nic formy te obrażającego? czegoż pan chcesz?

— Choćby pozoru żeśmy mężem i żoną?

— Zdaje mi się — odpowiedziała Olimpja ironicznie, że im będziemy zimniejsi i obojętniejsi, tem lepiej odegramy zwykłą rolę żony i męża....

— Ależ przecie — jakikolwiek wzgląd prostej grzeczności....

— W czemże uchybiłam?

— Pani mnie o to pytasz?...

— Pytam, bo pana nie rozumiem. Wiesz pan moje warunki — odparła z dumą Olimpja — łudzić się nie powinieneś że od nich odstąpię. Jestem wolną i postępuję jak mi się podoba, a mogę go zaręczyć że o jego postępowanie, humor, zabawy — wcale się dopytywać nie będę — — przepraszam! dodała chcąc iść do sypialni — nie mam czasu i jestem bardzo zmęczona. Żegnam....

Zbladły, drżący Zygmunt nie wiedział co czynić z sobą, — wpadająca Szafrańska, która obrachowała znać że tu potrzebną być może, zmusiła go do odwrotu. Wyszedł więc lecz z wyrazem gniewu takiego, któryby inną kobietę mógł przestraszyć. Olimpja ramionami ruszyła....

Wszedłszy na górę Zygmunt, świstał przeraźliwie chodząc po pokoju... a nogami kopał z gniewu krzesełka. Nareszcie rzucił się na kozetkę, podumał i siadł pisać raport do Radczyni. W niej i jej interwencji pokładał jeszcze nadzieję.

Tymczasem Klara się pospiesznie ubrała i przybiegła do przyjaciółki.... Siedząc na kanapie przeszeptały godzin parę.... Godzina obiadu nadchodziła... nie mówiąc nikomu pieszo poszły do restauracji francuskiej na wybrzeże, oznajmiwszy tylko iż u table d'hote nie będą. Zygmuntowi doniósł o tem kelner. Nie było sposobu, musiał skłamać.

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

S e w e r a...

III.

(Ciąg dalszy.)

— Dlaczego stajesz ser w opozycji przeciwko niebieskiemu kolorowi? — zapytałem towarzysza.

— W żadnej opozycji, tylko nie chcę go widzieć na głowie tego urwisa. Przysiągłem szanować ten kolor i chronić go, o ile to leży w mej mocy. Miałem narzeczoną, — ciągnie poważnie dżentelmen... milczenie. — I dlaczego się ser nie pytasz o więcej?

*

— Milczę — odrzekłem — z uszanowania dla wspomnień.

— To wiedz, że moja narzeczona powiedziała: nie lubię tego poważnego głupca w czerwonej krawatce. Gdy to mówiła, była w niebieskiej sukni, a ja wtedy przepadałem za czerwonemi krawatami — i byłem poważny jak — zgadnij kto?

Na tak niespodziewane zapytanie, nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

Dżentelmen zbliża usta do mego ucha, szepcąc:

— Jak osieł!... Czy nie uważałeś ser, jak to zwierze poważnie zapatruje się na świat i jego sprawy, jak głęboko rozważa każdą kwestję i jak wspaniale milczy. Osieł nigdy się nie unosi i nigdy nie spieszy, jak również nigdy nie irytuje. Osieł jest zawsze głęboko poważny, spokojny i trzeźwy. Nastawi uszy, gdyby mógł, to by nawet i nozdrza rozwarł, i milczy ze stoicyzmem wielkiego człowieka. Spojrz po towarzystwie, im więcej w nim poważnych, tem więcej i ograniczonych, a towarzystwo nudniejsze; rzuć okiem na społeczeństwo i jego wszelkiego rodzaju i kroju powagi, liczba ich wzrasta w stosunku do upadku cywilizacji, wykształcenia i rzetelnych zasług.... I ja do 28miu lat wieku byłem poważny, jak wielu z moich współziomków. Dla rozświetlenia ponurej mej twarzy, nosiłem czerwony krawat, powaga moja odpowiadała mojemu lenistwu, było mi z nią wygodnie i dobrze, przyzwyczaiłem się do niej.... Dopiero moja narzeczona wesoła i trzpiotowata miss Klara, którą dręczyłem śmieszną powagą, ocuciła mnie przytoczonem wyrażeniem, które wypadkiem podsłuchałem. Nazajutrz odesłałem miss moją czerwoną krawatkę i poprzysiągłem jej wesołość. Trzeciego dnia za podejrzany dobry mój humor straciłem miejsce na City, z oszczędzonej sumki zakupiłem najjaskrawszego koloru towary i już w tydzień byłem na morzu w drodze do naszych kolonij.

— I jak widzę dotrzymujesz ser słowa miss Klarze.

— Dotąd ani razu go nie złamałem i dlatego mam dobry apetyt, dobrze śpię, zrobiłem mająteczek, bronię niebieskiego koloru, a czasem i ludziom się pomaga; zresztą wiele się widziało i dużo nauczyło.

Bębny i piszczałki zagłuszyły naszą rozmowę. Z bocznej ulicy wybiega w awangardzie w kolumnach do ataku chmura obszarpanych dzieci, za niemi ośmiu doboszów, dwunastu grających na piskliwych blaszanych piszczałkach i wielki bęben. Tak złożona orkiestra przeraźliwie wygrywa marsza, a dżentelmeni i missy towarzyszą jej po obu stronach na chodnikach.

— Nasza narodowa muzyka, tak jak kobzy u Szkotów — rzekł z dumą dżentelmen.

— Winszuję.

— Takich smol-bend (małych orkiestr) mamy paręset w samym Londynie — i gdy się razem połączą na obchód dorocznego święta, to mi to dopiero muzyka! Dużobym dał, gdyby ją można przewieść na kolonje.

— Dzicy nie posiadaliby się z radości, — dodałem.

— „Parasol ten był świadkiem sławnej mowy Palmerstona na wyborach w hrabstwie Myddelton*). Słońce wtedy świeciło, szlachetny Lord zasłaniał się tym parasolem od jego promieni; potem, jak zwykle w Anglji, zaczął deszcz padać, a stary kanclerz mówił jeszcze dwie godziny i ani jedna kropla wody nie spadła na szlachetny jego nos. Nie wierzycie, patrzcie — rozwija parasol — patrzcie do światła, pięć funtów, kto znajdzie dziurkę, jedną, jedyną dziurkę, a tylko dwa szylingi za cały!“

— Hir, hir*) — zawołał uśmiechając się dżentelmen, gdyśmy stanęli w gromadce obok dwóch młodych ludzi, z których jeden trzymał pęk parasoli, a drugi wycinał spicz.

Jedna z miss zaczęła zbyt mocno szukać dziurki w parasolu Palmerstona. Sprzedający wsuwa jej w ręce parasol mówiąc: proszę potrzymać i obejrzeć — a miss trzyma i rozpatruje.

Mówca chwy a drugi parasol.— „A to jest, Miss end dżentelmen, parasol młodego księcia Kembridż. Opowiem wam ciekawą historję: Pewnego razu młody książe przechadzał się po Baterzi parku nad brzegiem Tamizy. Deszcz zaczyna kropić, gdy właśnie bez parasola biegnie jedna piękna miss. Książe jako dżentelmen proponuje podział parasolem; piękna miss przyjmuje — idą razem, deszcz co raz większy, przysuwają się coraz bliżej, bardzo blisko. Miss była wesoła, a książe zachwycony; rozmawiali sobie pod parasolem, jak pod namiotem. Miss nieprzerwanie wesoła, a książe coraz więcej zachwycony — i tak odprowadził ją do drzwi domu, potem się z nią widywał, kupował jej ciastka, cukierki i rękawiczki, chodzili razem na lody do cukierni i do teatru, a zresztą czyż jestem obowiązany wszystko pamiętać?... Za dwa nędzne szylingi i parasol w dodatku!“

— Jak on zna serca angielek — szepnął mi dżentelmen.

— „Szczęśliwy to parasol—zaszczyty przenosi — krzyczał szpiker — a ja jestem takie ograniczone bydlę, że go za dwa szylingi oddaję!“

Missy się śmieją, — dżentelmen basem im wtóruje.

— „Ależ bo też to parasol!“— ciągnie dalej handlarz i zaczyna go rozprzestrzeniać, zwijać i znów rozwijać, wreszcie, z rozwiniętym spacerować. Nagle zbliża się do miss, której powierzył palmerstoński parasol, odbiera go z jej rąk — miss tęsknem okiem spogląda za parasolem— przekupień rozwija go, wychwala siłę, moc, i historyczną jego wartość, — nakoniec zwija i chce oddać towarzyszowi. Miss wyciąga mimowolnie ręce; przekupień z uśmiechem oddaje jej parasol. — Zna on naturę ludzką, zna nieprzeparty pociąg do posiadania; pięć minut zostawiony w ręku miss parasol, stał się już jej niezbędnym.

— A co, nasi umieją sprzedawać? Taka mizerna kanalja, a jaka wymowa... i powiedz mi ser dlaczego? — pytał dżentelmen.

— Dlatego że Anglik — odpowiadam spokojnie.

— Zgadłeś, ser, chodźmy na Mohavków.

Dziesięciu murzynów uzbrojonych w dwie trąby, dwa flety, harfę, basetlę, dzwonki, kastaniety, wielki bęben i tamburino, — obok nich ośmiu śpiewaków pod dyrekcją białego wyśpiewywali przy akompanjamencie tak dobranej muzyki rozmaitego rodzaju utwory na podniesieniu sceny. Obszerna sala rzęsiście oświetlona — tłumnie zapełniona widzami.

— To wszystko nasi, szepce mrugając na mnie jednem okiem dżentelmen.

— Co to znaczy? — zapytałem.

— To znaczy, że są to wszyscy biali, anglicy pomalowani na czarno, w perukach skręconych po murzyńsku. I dlatego są tak ciekawi.

— Dlatego tylko?

— Dżon-bulle lubią kolonje — i mają słabość do czarnych; i ja ich lubię. Ale to jeszcze nic, zaczekaj ser, a zobaczysz.

Po skończonym śpiewie w pierwszym przestanku wpadają na scenę dwaj klowni również przebrani za murzynów, we frakach zszytych z najjaskrawszych kolorów.

Utrzymują w Anglji, że nie ma na świecie głupszego zwierzęcia nad murzyna. Klowny zdają egzamin z tego godnego uwielbiania ograniczenia w ułożonych zręcznie djalogach. — Im potworniejsze wyrażenie, tem większy śmiech publiczności. Przy każdej sposobności przebrani murzyni biją się po twarzach, targają za uszy i kopią nogami, a widzowie biją oklaski. — Mój towarzysz płacze ze śmiechu. — Po skończonem intermezzo następuje śpiew choralny z towarzyszeniem orkiestry.

Na scenę wbiega murzyn w trzewikach o drewnianych podeszwach — dwa łokcie długich. Rzęsiste brawa witają debiutanta; dżentelmen wpakował mi w bok boksa, dla ożywienia mojej uwagi. Trzewiki mają przypominać długie nogi kafrów. — Czarny wycina krótką mówkę do publiczności, przychylnie przyjętą, chwyta za tamboryno, muzyka wygrywa dżiga — narodowego tańca angielskiego, tańczonego przez marynarzy na okrętach, — a przypominającego bez żadnych zmian naszego kozaka. Murzyn wybijając takt na tamborynie tańczy dżiga. Przeraźliwy hałas od uderzeń drewnianych trzewików o podłogę sceny pruje nerwy, tancerz zaś przy każdym podskoku wykrzywia się w przeraźliwy sposób.

— Widzisz, ser, — oto kolonje w całym blasku! — wołał dżentelmen wstając, aby lepiej widzieć. — A to tańczy — brawo — brawo — wybornie! Ja się na tem trochę znam.

Murzyn skończył: entuzjastyczne oklaski przywołały go poraz drugi na scenę, musiał powtórzyć — i pewno trzeci razby tańczył, gdyby był tylko w stanie to uczynić.

— Szczególnej siły potrzeba, aby w dziesięciofuntowych, a dwułokciowych trzewikach tańczyć przez kwadrans — robię uwagę dżentelmenowi.

— Naturalnie, — siły czarnych dzikich.

— A jednak to jest biały?

— W tem właśnie sztuka.

— Sztuka piękna — dodaję.

— O tak, taniec znakomity!

— Synowie Albionu, pomyślałem, nie podbijecie wy świata sztuką i gustem, na tem polu nie zwyciężycie, chociażby dlatego, że za dużo u was mohavk-minstrelów.

W około sali urządzone bufety. Za stołami wyszukanej piękności miss rozlewają staut, dżin i grog. — Mój dżentelmen w zebranych gromadkach, spotykał wielu znajomych, a nawet przyjaciół z kolonij. Wcale nie rozmawiali o biznesie (o interesach), gdyż żaden prawy dżentelmen nie poważy się poruszać swoich interesów w teatrze, salonie, na koncercie, lub na przechadce; krytykowano za to taniec czarnego, jego ruchy, skoki i śpiew.

Zmęczony i rozstrojony w towarzystwie zachwyconego przedstawieniem dżentelmena, opuściłem z nim minstrelów kierując się ku domowi.

W jadalnym pokoju przy otwartych drzwiach

*) Okręg wyborczy w Londynie.

*) Hear — słuchaj, brawo! — zwyczajnie używane w parlamencie, teatrze; słowem, wykrzyknik uwielbienia.

zastaliśmy Rachelę, — i mającego odwagę siedzieć przy niej pana Kuk. Rachela wyszła, aby mi oddać list o niebieskich i różowych markach z odbitą na nich twarzą wąsatą i z faworytami, — który lekko przypominał zapachem fijołka i różę. Takich listów nie otwiera się przy świadkach.

— Twarz pani nie jest mi obcą — zauważył mój dżenetlmen, zwracając mowę do Racheli.

— Ja zaś nie przypominam sobie....

— O pani! ja nie wymagam dla siebie uwagi i pamięci.... Po krótkim namyśle — mam już! — zawołał, wyjmując kupiony u chłopca rysunek, rozwinął go, a pokazując na obrazie damę trzymającą kapelusz pana Snape, dodał: — Oto dlaczego szlachetne jej rysy nie były mi obce.

Rachela zapłonęła jak róża, — mister Kuk zaś miał odwagę zbliżyć się do nas, aby się przypatrzeć obrazowi, albowiem ani Rachela, ani p. Kuk, nie otrzymali jeszcze odbitych egzemplarzy.

— Dlaczego na obrazie nie znajduję obok pani, szlachetnego jej przyjaciela, o ile słyszałem podpory, a może i naczelnika przyszłego kościoła? zauważył dżentelmen.

Pan Kuk miał odwagę bardzo nisko ukłonić się nam w tej chwili.

— Nie chciał posłać swej fotografji rysownikowi, ze zbytku skromności — tłumaczyła Rachela, patrząc dobrotliwie na pana Kuk.

Chciałaś pani powiedzieć z pokory, ale pokorni będą zwyciężeni.

— Ser jesteś oczytany w biblji.

— Należę do kościoła metodystów i jako misjonarz tej kongregacji jeżdżę do Afryki. — Na sto sztuk sprzedanej broni, jedna biblja, — na dwie beczki araku, jadna biblja dodatku — to nieźle, co?

— Bardzo szanowna kongregacja — dodała Rachela.

— Możebyś ser pojechał zemną do Senegalu jako misjonarz swego kościoła, — zapytał dżentelmen pana Kuk; — wierzaj mi, można przytem bardzo dobre interesa robić.

— Pan Kuk, ma tutaj swoje obowiązki; jego misja jeszcze nie skończona w Anglji — odpowiedziała ze stanowczą godnością Rachela.

— Zresztą szkoda wyższych talentów dla dzikich, — zakończył dżentelmen ściskając rękę szęśliwej, wesołej Racheli, a kłaniając się panu Kuk.

— Mamy ich! — zewołał w moim pokoju dżentelmen; — tak się zdobywa serca dwojga odrazu.

— Zwyczajnie po angielsku — odparłem z uśmiechem.

Dżentelmen roześmiał się serdecznie, a życząc mi dobrej nocy, przyrzekł nazajutrz wizytę, aby wspólnie ułożyć warunki pojedynku.

Zły a nawet trochę zawstydzony z tak burzliwie przepędzonego dnia, położyłem się. Ciężki sen zamknął mi powieki, zmącona myśl snuła poplątane obrazy. Taniec dzikich pijanych z długiemi nogami i ich wrzaski, mięszały się z opowiadaniami nędzarzy, chwalących się wielkością sławy swoich przodków. Dzicy za szklankę wódki rzucali ostatnie zapasy chciwym Dżon-Bullom,— nędzarze umierając z głodu, nie przestawali mówić o wielkości odziedziczonej po przodkach. — Wzajemne uściski jednych z drugimi zmięszały obraz.... Nareszcie i ja zostałem porwany w szalone koło tańczących, a potem rzucony w czarną przepaść zagłady i zapomnienia....

„Po nad przepaścią spostrzegłem postać —
Co lecąc naprzód rzucała niedbale
Perły — jaśminy i maki — korale“.

Wydobywam ostatek sił, zrywam się i biegnę za nią, zbierając upadłe maki i jaśminy. Maki w mych rękach zmieniają się w krople krwi, jaśminy w perły łez.... Zaczyna świtać różowa jutrzenka, rozjaśnia widnokrąg, mgła okrywa zieloność łąk i ciemne lasy sosnowe. Drogi, — przy drogach krzyże, na polach mogiły. Chaty rozrzucone obok kościołów i zapach zbóż....

— Nie rozpaczaj — mówiła zaklęta—patrz jaki sen cichy i spokojny — tu już słońce wschodzi. Każdy mak, to kropla krwi wylana dla przyszłości, a każdy jaśmin, to łza ofiary... Krople krwi zmieniam na maki, łzy na jasminy — ludzie dobrej woli zrywają je, splatając z nich wieńce dla nieśmiertelności narodu, — pracą i poświęceniem.

Otwieram oczy, goniąc myślą za czarodziejką, — usiłuję zatrzymać w pamięci jej rysy, — napróżno!... Kolor złotych włosów, mieni się w mej wyobraźni, — raz staje się jasny, jakim bywa nad brzegami Wisły, — przechodząc w złoty, jak z nad Tamizy... napróżno. Gdzież jestem?... Cisza w pokoju, szelest drzew pod oknami, zmięszany z głuchą wrzawą strasztiwej, oddalonej walki. Ach, to tylko Londyn i tylko odgłos życia czterech miljonów ludzi.

Zaledwie oprzytomniałem i zdołałem się ubrać, wbiega Rachela do pokoju, anonsując dżentelmena oczekującego mnie w salonie.

Dżentelmen w wieku lat pięćdziesięciu, poważny, powstał na przywitanie.

— Jestem Jakób Wudwerd (Woodward), a oto, jeżeli się nie mylę pańska karta, którą mi wręczył Mister Henryk Clifford, w wiadomym mu celu.

— Nie ulega wątpliwości, że karta ta zawiera moje nazwisko, domyślam się zatem w jakim charakterze ser przyjechałeś.

— Ja się zaś niczego nie domyślam, mnie nie wolno się domyślać, ja wiem stanowczo po com tu przybył.

— Tem lepiej dla nas obu. Cenię stanowczość i dokładność informacji.

— Jeżeli ser utrzymujesz, że je cenisz, to bądź łaskaw wysłuchać mojej propozycji.

— Mów, ser.

— Dałem słowo nie rozpoczynać sprawy, dopóki ser sam za dwie godziny nie objawisz stanowczo swego zdania. Zanim zaś to nastąpi, ośmielam się wymagać, abyś mi towarzyszył. Pojedziemy.

— Dokąd? — zapytałem.

— Nie mam w instrukcji pozwolenia na objawienie celu podróży i miejsca. Bądź jednak ser spokojny, jesteś pod moją opieką, a pod gwarancją honoru Henryka Clifford.

— Kiedy mamy jechać?

— Natychmiast.

Nie znałem ani opiekuna, ani honoru Henryka Clifford'a, — ale ponieważ sprawa nie należała do handlu, słowem do żadnego biznesu,— z ufnością więc zawierzyłem.

W pięć minut później pędziliśmy londyńkiem keb'em*) we wschodnią część miasta. Dżentelmen przez całą drogę nie przemówił do mnie ani jednego słowa, pewno nie miał na to odpowiedniej instrukcji, ja zaś zdecydowany na wszystko, nie zajmowałem się moim losem.

Po godzinnej jeździe zatrzymujemy się przed jednym z domów szerokiej ulicy. Ogródek przed oknami — zielony gazon, w około kwiaty. — Dżentelmen zastukał, uderzając młotkiem do drzwi pięć razy. Raz tylko uderzyć ma prawo interesant, sługa, kramarz; dwa razy listonosz, trzykrotne zaś stuknięcie oznacza dżentelmena, które w miarę ważności stanowiska wzrasta w liczbę.

Młoda rumiana służąca otworzyła nam podwoje. Dżentelmen zapytał, gdzie mamy się udać.

— Do salonu — odrzekła uśmiechając się do nas figlarnie.

Na pierwszem piętrze dżentelmen otworzył drzwi, a puszczając mnie naprzód samego, zamknął je i zszedł na dół. Usiadłem na kozetce rozglądając się po elegancko i pieszczotliwie przybranym saloniku. Po krótkiej chwili słyszę szelest sukni jedwabnej w przyległym pokoju... szelest, na nas wężach rodzaju męskiego tak nieokreślenie przyjemne robiący wrażenie, zbliża się, otwierają się drzwi — przedemną z Redżentstrit miss —perły —jaśminy i maki — korale — blada i zmięszana podaje mi rękę.... (C. d. n.)

*) Cab — kbrjolet o 2ch kołach.

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Dokończenie.)

Artur Grottger.

Pomówiwszy o kompozycjach i sposobach, w jakie je Grottger wykonywał, przystąpmy teraz do strony technicznej. Rzadko o którym artyście można to powiedzieć co o Grottgerze: jako technik był on genjalnym i słabym.

Nie bez powodu napisałem na początku niniejszej rozprawy, że gdy Grottger usłyszał o tragicznych scenach, których widownią była Warszawa, zaprzestawszy dalszych studjów, zaczął gorączkowo tworzyć swoje kartony. Tę gorączkowość widzimy wszędzie; żal mu było myśli, która się w duszy zrodziła, więc przelewał ją coprędzej na karton, więcej dbając o jej treść niżeli o formę. Ztąd pochodzi, że w bardzo wielu miejscach, szczególnie w „Polonji“, rysunek nagich ciał i draperji nie mało pozostawia do życzenia. Obnażone ramiona nie mają jędrności, a draperje kobiece niejednokrotnie rażą układem i pobieżnem wykończeniem. Wina za te niedostatki cięży nie tyle na nim co na współczesnych mu krytykach. Jednogłośnie chwalono go za to, że rysuje zawsze z pamięci, nie wytykając mu w rysunku żadnych zboczeń, lecz owszem nazywając każdą linję nadzwyczaj poprawną. Niezręczne te pochwały nie oddziałały korzystnie na talent Grottgera, jako rysownika. Rafael nie kusił się rysować bez modelów, a Michał-Anioł nie poprzestając na żywych wzorach, uczył się długie lata anatomji, wiedz bowiem jak trudno poznać tę wątłą skorupę, w którą nas natura oblokła. Jak długo ten wielki mistrz studjował naturę, tworzył skończone arcydzieła. Później, gdy zaczął malować z pamięci, utwory jego utracały dawniejszą siłę, i już w „Sądzie ostatecznym“ nie widzimy tej jędrności rysunku, jaką można podziwiać w dawniejszych jego pracach. Zkąd to pochodzi nie trudno zrozumieć. Jak długo

patrzymy na naturę, tak długo mamy jej żywy obraz przed oczyma, rozstając się z rzeczywistością, musimy ją sobie później przypominać. Obraz w myśli wyrobiony, będzie już nieco mdły, jako pierwsza kopja natury, a jeśli go na płótno przelejemy, mdłość co najmniej się podwoi, gdyż z porządku rzeczy stanie się on kopją kopji. Niech artyści pamiętają, że bez dobrych wzorów nie wolno rysować i malować. Widz nigdy nie zapyta jakiemi posługiwałeś się środkami, ale co i jak zrobiłeś.

Żywe ciało i draperje kobiece, pozostały do samego końca słabą stroną Grottgera. Chociaż w „Wojnie" stanął on najwyżej jako rysownik, mimo to nie możemy powiedzieć, aby ramiona i powiewna szata Beatryczy były nienaganne. W pierwszym wypadku rysunek nie wyprowadził życia, skutkiem czego Beatrix cała robi wrażenie posągu marmurowego, w drugim zaś fałdowanie nieharmonijnie się rozlało. Proszę spojrzeć na VIII karton „Wojny." Są atoli miejsca, w których Grottger okazał, że umie rysować jak Rafael. Najpierw głowy jego są prawie wszystkie z niezrównanym rysowane talentem, a następnie każdy karton ma ustępy, które na zawsze pozostaną wzorem najpoprawniejszego rysunku. Nie mogąc przechodzić szczegółowo każdego kartonu z osobna, zwócę uwagę na niektóre tylko miejsca. Białe ubranie siostry, padającej przy drzwiach, przez które brata wyprowadzono (Polonja) jest pełne wdzięku i niezrównanej melodji; kołyska z poduszeczką i królik objadający listki kapusty (Lituanja, karton V) są rzadkiej doskonałości; to samo można powiedzieć o całym pierwszym planie na ostatnim rysunku „Lituanji", a jeżeli spojrzę na szlachcica bijącego się w piersi pod figurą w „Zimowych wieczorach", to doprawdy nie wiem, czy postać tę rysował artysta nowoczesny, czy starożytny mistrz włoski. Stron dodatnich, świadczących o znajomości natury jest wszędzie poddostatkiem; niepoprawnością rysunku grzeszy najwięcej „Polonja." Zdaje się, że całą tę serję Grottger rysował prędko i z pamięci, rzadko posiłkując się wzorami. Nieprześcignionym będzie również Grottger w tem jak osadza każdą swoją postać. Weźcie pierwszego lepszego z jego ludzi i pociągnijcie linję od czoła do stóp, a przekonacie się, że każdy z nich stoi silnie, nie chwiejąc się na nogach, że wszystkie proporcje są wzorowo zachowane, i że życie prawdziwe czuć nawet pod tą kutą zakonnika, która spadając w grubych fałdach całego człowieka zasłania. Artyści wiedzą, jak trudno dojść do takiej doskonałości. Tego nikt się nie nauczy, to jest już darem prawdziwego talentu.

Nie rozpisując się dłużej nad stroną techniczną, ponieważ aby wyczerpać ten temat musiałbym być nader rozwlekły, gdy tymczasem każdy widz z dobrym smakiem łatwo pozna gdzie są liczne zalety a gdzie rzadkie błędy, zakończę uwagą, że idealny kierunek Grottgera, okazany w kompozycji i jej wykonaniu, spada czasem w technice do zwyczajnego realizmu. Tak realnym jest układ nóg borowego, „Lituanja, karton IV" a jeszcze bardziej cały biust ślepego grajka w „Zimowych wieczorach." Są to atoli rzadkie wyjątki. Cień i światło, jak niemniej drzewa i kwiaty nie pozostawiają nic do życzenia... I tu idealizm przeważa.

W ogóle Grottger łączy w sztuce idealizm z realizmem i to jest charakterem polskiej szkoły.

Grottger długo się wpatrywał we wzory starożytne, inaczej bowiem nie byłby się przejął tak wielką szlachetnością artystyczną, ale mimo to nie naśladuje on nikogo, będąc zawsze sobą. Jeden tylko karton „Warszawy" (V) przypomina układem i rysunkiem starą szkołę niemiecką. Wzory wyrobiły w nim smak dobry — i oto dowód że bez doskonałych wzorów żaden z nowoczesnych artystów obejść się nie może. Gdyby się był dłużej wpatrywał w mistrzów starożytnych, technika jego byłaby także wszędzie doskonałą. W „Wojnie" widzimy już ogromny postęp w rysunku; z małemi wyjątkami jest on tu wszędzie niezrównany, co zawdzięcza mistrzom francuskim, rysownikom *par excellence*, których dłuższy czas studjował w Paryżu w r. 1867. Gdyby był nie umarł tak wcześnie, jak daleko mógł jeszcze doprowadzić! Strata jego dla sztuki polskiej jest ogromną!

Kiedy na wstępie mówiłem, że w Polsce drzymie genjusz, który budzi się wśród wielkich katastrof, nie jeden mógł moje słowa uważać za czczy frazes patrjotyczny. Na potwierdzenie słów moich, niech teraz cyfry posłużą:

Od r. 1853 do 1863 Artur Grottger kształcił się we Wiedniu. W ciągu tych 9. lat, nie stworzył nic uwagi godnego, chociaż znajdował się w okresie życia, w którym artysta najpiękniej się rozwija. Od 17. do 26. roku, rysował rzeczy drobniejsze, doświadczając sił w malarstwie, które nie odpowiadało jego kierunkowi. Dopiero gdy wypadki warszawskie poruszyły go do głębi, genjalność zbudziła się z uspienia, i oto w ciągu czterech lat następnych dał nam cztery wielkie kompozycje, stawiające naszą sztukę na wyżynie prawdziwego artyzmu. Wielka katastrofa zbudziła Grottgera. Wśród wielkich tylko katastrof budzi się genjusz polski.

Artur Grottger umarł r. 1867 w grudniu, mając lat 30. Był on pierwszym, który w świecie artystycznym rozgłosił imię Polski. Oby znalazł jak najwięcej godnych siebie następców.

* * *

Zamiarem moim było po rozprawie o Arturze Grottgerze umieścić zaraz drugą o Janie Matejce, ale ponieważ w ostatnich tygodniach liczni przyjaciele mego pisma, przysłali mi bardzo wiele rozpraw pięknych i pouczających z których każda jest na czasie, ustępujemy więc miejsca innym, i dopiero po Nowym Roku powitamy znowu naszych czytelników.

Józef Rogosz.

ŻONA POLEGŁEGO.

Nowella

M. Jokai'a.

(Dokończenie.)

V.

Podczas tej długiej kampanji widziano raz tu, to znowu tam, w węgierskim obozie i pomiędzy austrjacką armją tę samą kobietę, która wciąż inny strój przybierając, raz jako markietanka, to znowu jako wieśniaczka, lub za młodego chłopca przebrana pojawiała się, a gdy ją zauważono, nagle nikła bez śladu... Skoro gdziekolwiek podejrzenie przeciw niej się zbudziło i szukać jej zaczęto, za pomocą puszczonego w obieg dokładnego opisu stroju jej i postaci — strój jej i postać z czarodziejską zręcznością się zmieniały. Znajdowano inną osobę, z paszportem w porządku — nie przedstawiającą najmniejszego podobieństwa ze ściganą.

Poźniej zdarzało się, że pochwycili ją i przytrzymali rewolucjoniści lub cesarscy. Zawsze jednak umiała się wykręcić pomimo najwyraźniejszych oskarżeń i dowodów na jej niekorzyść, — i każdym razem w godzinę najwięcej po aresztowaniu odzyskiwała wolność.

Koniec końców obiedwie armje przyzwyczaiły się do niej i każda strona uważając ją za swoją — wolnego wstępu do swego obozu jej nie broniła. Ona nigdzie nie zatrzymywała się dłużej godziny, nigdy nie rozmawiała więcej jak z jednym człowiekiem — papierów żadnych nigdy przy niej nie znaleziono. Dowieść jej nie można było że i wrogowi służy.

Raporty jej dla obudwu stron były zawsze ścisłe i wyczerpujące. Że cesarscy z tych raportów najmniejszej wyciągnąć nie mogli korzyści, pochodziło z następującej przyczyny. Każdy prawie z rewolucyjnych dowódzców miał zwyczaj na dzień przed bitwą odbywać naradę z całym sztabem nad planem walki. Wskazówek każdego mowcy słuchano z największą uwagą. Wreszcie stawał pracowicie ułożony plan walki, spisany, odczytany, uchwalony — a następnego dnia ani jedna litera z niego, ani jedna myśl — nie wchodziła w wykonanie. Co zaś do raportów o liczebnej sile Węgrów, to na tych nigdy opierać się nie można było, znajdowały się bowiem w rewolucyjnem wojsku bataljony, których jedna kompanja w bitwie więcej zaważyła, aniżeli gdzieindziej pułk cały.

Herminia odwiedzała często naczelnego wodza Węgrów, i otrzymywała od niego nieraz odpis całego planu bitwy, dla wydania go nieprzyjacielowi. Ponieważ zaś doniesienia innych szpiegów od jej raportów tem tylko się różniły, że były znacznie mniej dokładne, wkrótce więc cesarscy uznali ją za najlepszą z donosicieli swoich i ślepe mieli do niej zaufanie.

Że zaś najczęściej wykonanie nie odpowiada planom — tego rzecz prosta — nie poczytywano jej za winę.

Jednego z dni poprzedzających drugą bitwę pod Szöny znajdujemy wdowę znowu w mieszkaniu młodego majora. Tylko co przybyła.

— W dobrą godzinę przychodzisz Herminio, rzekł poufale witając ją major, rada wojenna właśnie dzisiaj za raporty twoje osobliwe oddawała ci pochwały...

— Bardzo mi to zaszczytnie!...

— Czeka teraz na ciebie wielkie zadanie, którego gdy dokonasz, uwieńczysz całą dotychczasową działalność swoją.

Wdowa milczała... czekając spokojnie na bliższe wyjaśnienie.

— Musisz obejrzeć dla nas szańce Komorna i Szöny i zdać sprawę z ich stanu...

— Do tego ja się nie przydam, odrzekła wdowa. Rzecz to specjalisty biegłego w sztuce budownictwa wojennego. Zkądże ja mogę wiedzieć, jakie znaczenie ma ten albo ów szaniec? A przytem i rysować wcale nie umiem. Podobną misję możecie tylko inżynierowi powierzyć.

— Wybacz, piękna Herminio, do podobnej misji nie każdy uczuwa skłonność. Potrzeba mieć do tego szczególne powołanie, być obdarzonym szczególnie zuchwałą odwagą a przytem na przypadek schwytania i niemałą przytomnością umysłu.

— Bynajmniej. Trochę zręczności wystarczy. Węgrzy nie są podejrzliwi.

— Przypuszczam, że tak jest istotnie. Herminio. Dajmy na to że z łatwością wejdzie się do twierdzy i pomiędzy szańce — cóż się przez to pozyskało? Prawie nic jeszcze. Dopiero gdy się wszystkie punkta obejdzie, obejrzy, odrysuje rzecz będzie skończona. A do wykonania podobnej sztuki bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi, trzeba niewyczerpanej pomysłowości — której oprócz ciebie, nikt nie posiada.

— Dobrze. Ale musi pójść ze mną ktoś znający się na rzeczy. Jak w bajce kulawy i ślepy, we, dwoje będziemy stanowili jednego człowieka.

— Parbleu, łaskawa pani, masz dzisiaj szczególne usposobienie do żartów — człowiek któryby się zdecydował wybrać na taką wyprawę wspólnie z tobą — musiałby żywić dla ciebie fanatyczną ufność.

— No!... A czyż nie znajdzie się taki człowiek na tej ziemi? spytała kobieta z ułudną pieszczotliwością tuląc się do piersi majora...

— Pani — masz mnie na myśli? Na honor, nie powiem, ażeby mi ta propozycja smakować miała! Osiem razy już stałem w ogniu armatnim i wiem, co znaczy być odważnym, ale do czegoś podobnego, wyznaję, że nie znajduję w sobie odwagi.

— Nic dziwnego, odparła szydersko kobieta. W bitwie odurzenie wystarcza, a tutaj trzeźwości i spokoju potrzeba.

— Nie o to chodzi — ale o rodzaj śmierci. Co do mnie chciałbym paść na polu bitwy, w łóżku umierać nudną mi się wydaje rzeczą; ale na miejscu tracenia, Herminio... na miejscu tracenia — o taki zgon straszliwym być musi!

— I dla mnie śmierć także niema powabu, ale przecież Bóg na to dał człowiekowi rozum, aby się za pomocą jego ratować umiał. Wiesz pan zapewne, że Węgrzy mają mnie za swojego szpiega, a jednak zdarzyło się nieraz, że przytrzymali mnie i rewidowali. Cóż jednak? Nie znaleźli nigdy przy mnie ani jednej literki, któraby mnie oskarżyć i na plac tracenia zaprowadzić mogła...

— Jakże to być mogło?

— Jak? Czy widzisz pan ten złoty zegarek? Nieprawdaż, pytałeś mnie nieraz: która godzina? a jednak nigdy nie przyszło ci na myśl że ten mały złoty instrument nietylko zwyczajną godzinę ale nieraz i godzinę śmierci wskazuje. Popatrz pan!

I nacisnęła niewidzialną sprężynę, z boku umieszczoną. Zegarek się otworzył a z pustego wnętrza jego wypadł drobny pakiecik delikatnych, kolistego kształtu papierków.

— Tutaj noszę niebezpieczne notatki. Oprócz mnie nikt nie zna tej skrytki, nie podejrzewa jej nawet — ani nie potrafi otworzyć.

Major zdawał się namyślać.

— Tego się pan nie możesz obawiać, ciągnęła dalej wdowa, że nas własna nasza niezręczność zdradzi. Jedynym hamulcem dla pana być może myśl, że ja cię zdradzę. W takim razie dajmy pokój wszystkiemu.

— Przeciwnie, idę z panią, zawołał major ugodzony w najsłabszą swoją stronę. Pomyśl o przebraniu.

— Przedewszystkiem o haśle. Przebierzemy się w prosty mieszczański strój — ten najmniej wpada w oczy.

W pół godziny potem szła wdowa z zabójcą swego męża drogą do węgierskiego obozu.

VI.

Późnym wieczorem tańcowali w jednym z napół spalonych domów Komorna honwedy przy ochoczym brzęku muzyki.

Jakiś praktyczny towarzysz zaimprowizował szynkownię ze spustoszonej sali domu. W oblężonem mieście nikt nie miał ochoty spalonego domu odbudowywać. W tej ruderze mieszkał, kto chciał.

W bocznym pokoju, którego drzwi wychodziły do szynkowni, siedzieli przebrany major i wdowa i szeptali coś cichuteczko ze sobą.

Major rysował i spisywał notatki na papierkach, które chował w wnętrze zegarka, wdowa zwracała wśród tej pracy uwagę jego na to, to na owo.

— Jaka by to była szczególna rzecz, odezwała się naraz niespodzianie kobieta — podnosząc się ze swego miejsca, gdyby ci węgierscy sąsiedzi nasi dowiedzieli się, czem pan się tutaj zajmujesz.

— Tyle byłoby tylko w całej rzeczy szczególnego, że kulą w łeb bym od nich dostał, odparł major, nie odrywając się od swojej pracy.

— A gdyby mnie tak nagle przyszło na myśl zawołać: „Do mnie żołnierze!... Ten człowiek... to szpieg!“

Major skoczył w gniewnem poruszeniu...

— Herminio!... takie żarty przechodzą wszelką miarę.

— No!... nie masz się pan jeszcze o co tak zżymać, odrzekła dama, jakby pół żartem. Oto lepiej pokaż mi, coś już zrobił.

I to mówiąc wzięła zegarek w rękę.

— Ten zegarek ma jeszcze jedną skrytkę, dodała głuchym głosem.

— Pozwól pani zobaczyć.

Dama odsunęła złotą blaszkę, z poza której błysnął portret mężczyzny, delikatnej, miniaturowej roboty. Mężczyzna ten strojny był w błękitny dołman gwardji narodowej, ozdobiony srebrzystemi guzami.

— Co to za człowiek?...

— Nie znasz go pan w istocie? zapytała wdowa urwanym głosem, dziko w oczy oficerowi patrząc...

Major osłupiały poruszył przecząco głową.

— To ten sam człowiek, zawołała kobieta drgającym głosem, wyprostowując się w groźnym i namiętnym wyrazem, z iskrzącem okiem i płonącą twarzą — ten sam człowiek, którego zabiłeś. Człowiek którego obrączkę dotąd jeszcze na ręku nosisz! Człowiek którego uwielbiałam i dotąd uwielbiam jeszcze. To mój nieszczęsny mąż!

Oficer zbladł jak ściana. Zastygł pod zabijającem spojrzeniem tej straszliwej kobiety. Słowo nie mogło się wydobyć ze ściśniętego jego gardła. Patrzył tylko na nią, sztywnie, nieruchomie, nie stawiając oporu. Szedł za nią wzrokiem, gdy ku drzwiom postąpiła... Pierwszy jej krok był pewny, drugi chwiejący się,... przy trzecim upadła na kolana... Położyła rękę na klamce odedrzwi i drżąc, z trupio bladą twarzą obejrzała się na swoją ofiarę, siedzącą jeszcze bez ruchu na tem samem miejscu, jak człowiek rażony piorunem.

— Słowo tylko powiem i śmierć tobie... mówiła kobieta urywanemi słowy, ciężko dysząc... Zginąłeś... Od długich miesięcy pracuję dzień i noc bez ustanku nad tem, ażeby cię zabić... teraz mam cię tutaj... a jednak... nie mogę ci życia odebrać... idź, uciekaj... ratuj się! Doprowadziłem cię na próg grobu... odwróć się... nie mogę cię zabić... Oddaj pierścionek, który masz na palcu i odejdź!...

Oficer skoczył do drzwi i chciał uciekać....

— Szalony, gdzie idziesz?... Twarz twoja zdradzi kim jesteś... tędy, przez okno, wyskocz, przepłyń Waagę... A uważaj, żeby cię nie schwytano... Nie chcę twojej śmierci... Uciekaj!...

Oficer rzucił się z okna i bez tchu, pędząc, przepadł wkrótce nad brzegiem rzeki.

Ona słuchała drżąca dziwną gorączką trawiona, szelestu oddalających się kroków jego, a gdy ten ucichł, osunęła się całkiem na podłogę, łzy jej buchnęły strumieniem, łkać poczęła, podniosła rękę w górę i jak gdyby rozmawiając z niewidzialnemi mieszkańcami niebios wyszeptała:

— Czyś rad ze mnie?.... Czym dobrze zrobiła?! Pochwalasz-że to?!..... o mój stracony!....

MOI SYNOWIE

WIKTORA HUGO

przekład

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Tak żyją. Mijają lata. Cóż robią wygnańcy w tym czasie. Rzecz prostą. Spełniają swój obowiązek. I jakże się nazywa ten ich obowiązek?... Wytrwać. To znaczy: służyć ojczyźnie, kochać ją, wychwalać, bronić, żyć dla niej, choć zdala niej; a ponieważ należy się do niej — walczyć, a ponieważ jest się zdala niej — cierpieć. Ale służyć ojczyźnie, to tylko połowa obowiązku: służba dla ludzkości jest drugą połową. Oni spełniają go w całości. Kto go bowiem nie spełnia w całości, nie spełnia wcale: taka jest zazdrość sumienia.

Jakżeż ludzkości służą? Dając dobry przykład.

Mają matkę — czczą ją, mają umarłą siostrę — opłakują ją, mają żywą — kochają ją, mają ojca, wygnańca — pomagają mu. W czem? Znosić wygnanie. Bardzo to ciężko niekiedy. Mają także wspólników przeciwnego losu. Dla tych stają się braćmi. Pozbawionym ojczystego nieba wskazują nadzieję, to tło niebiosów wszystkich ludzi. Zdarzają się niekiedy w tej gromadzce nieulękłych a zwyciężonych chwile rozdzierającego cierpienia: ujrzeć można niejednego z nich, jak podnosi się w nocy na łóżku i łamie ręce wołając: „Pomyśleć, że już nie jestem we Francji!“ Kobiety ukrywają się, ażeby płakać, mężczyzni, aby krwią broczyć. Tylko ci dwaj młodzi wygnańcy niezachwiani są i pełni prostoty. W ciemnościach tych, świecą; wśród tej tęsknicy do kraju — stoją wytrwale; pod naciskiem tej rozpaczy — śpiewają. Podczas gdy inny człowiek, w owej chwili cesarz francuzów i anglików, żyje w swej rezydencji tryumfalnej, całowany przez królowe, zwycięzca, wszechmogący a ziejący grobem — oni, w domu wygnania zalewanym przez pianę fal morskich, śmieją się i uśmiechają. On, pan świata i chwili, cierpi na smutek nieodłączny od niegodziwej pomyślności; oni pieszczą w sercach radość poświęcenia. Zresztą nie są bynajmniej opuszczeni. Przy nich nieporównani przyjaciele. Vacquerie, potężny i świetny duch, Meurice wielka, łagodna dusza, Ribeyrolles, dzielne serce. Dwaj bracia godni są tych wyniosłych ludzi. Niczyje czoło piękniejszą nie promienieje

pogodą. Niech los co chce czyni: ich tarczą bohaterskie o nic niedbanie, przywilej spokojnego sumienia. Starszy, gdy doń mówią o wygnaniu, odpowiada: „Mnie się to nie tyczy.“ Przyjmują serdecznie cząstkę swoją w otaczającej ich agonji; opatrują we wszystkich duszach trawiącą ranę, którą wygnanie rodzi. Ojczyzna czem dalsza, tem bliższa, niestety! Podporą są dla chwiejących się; odradzają ustępstwa, które tęsknota do kraju mogłaby poddać niektórym z biednych zbłąkanych duchów. Jednocześnie zaś wstrętem ich przejmuje myśl rozdeptania wroga, choćby najpodlejszego. Pewnego dnia zdarza się, że w tym obozie wygnańców, w tej rodzinie pozbawionej ojczyzny odkrywają naraz sługę policji, zdrajcę przybierającego srogą minę, ajenta Maupas'a przybranego w larwę Heberta. Wszystkie te poczciwe dusze podnoszą się w oburzeniu; śmierć grozi nędznikowi: dwaj bracia ocalają mu życie. Kto poddaje się prawu cierpienia, mocen jest używać prawa łaski. W około nich czują wszyscy, że młodzieńcy ci mają wiarę, prawdziwą wiarę, która się udziela. Ztąd pewien rodzaj przewagi w ich młodości. Wygnaniec za prawdę jest to uczciwy człowiek w całem dumnem znaczeniu tego słowa. Oni mają w sobie tę uroczystą uczciwość. Najmniejsze osłabnięcie na duchu obok nich jest niemożebnem: silne ich ramię znajdzie się zawsze na czas z pomocą. Wiecznie w pogotowiu na szczycie skały, zatapiają spokojne spojrzenie w cień i zagadkę, dają znak, skoro tylko ujrzą jakikolwiek promyk zapalający się na widnokręgu; stoją na straży przyszłości. Rozlewają w tych mrokach dziwną jakąś jasność zorzy, za którą milcząco im dziękuje rozdzierająca serce łagodność i rezygnacja wygnańczej gromadki.

III.

W tym czasie gdy spełniają prawo braterstwa, zadosyć czynią również prawu pracy.

Jeden tłómaczy Szekspira i oddaje Francji, w księdze odznaczającej się świetnem obrazowaniem i powabną erudycją „Nieznaną Normandję.“ Drugi ogłasza cały szereg dzieł gruntownych i wytwornych, pełnych prawdziwego uczucia, przejmującej dobroci, wzniosłego współczucia. Młodzieniec ten jest po prostu wielkim pisarzem. Jak wszystkie możne i obfite umysły, wykonywa prędko, ale przygotowuje długo, z płodną powolnością natury; ma ten rozmysł, zalecany przez Horacego, a będący źródłem improwizacji trwałych. Pierwszy krok jego w powieści proroczej (1856) jest arcydziełem. Przypisuje ją Wolterowi, a mógłby (co daje pojęcie o wspaniałym obszarze tego młodego ducha) przypisać zarazem i Dantemu. Łączy w sobie ironję Arouela i wiarę Alighieri'ego. Pierwszy krok jego na scenie (1859) jest również arcydziełem, ale arcydziełem maleńkiem, prawdziwą igraszką myśliciela, żywą, ulotną, bystrą, nie dającą się zapomnieć, komedją lekką a silną, mającą pozorną kruchość oskrzydlonych tworów. Młodzieniec ten, dla patrzących nań zbliska, zdaje się w ciągłym spoczynku, a tymczasem wciąż pracuje. Zresztą ma tyle zdolności ile prób czyni; bierze się do romansu, staje mistrzem, tyka teatru, objawia się poetą, rzuca się w wir polemiczny, okazuje się świetnym dziennikarzem. W tych trzech regionach jest jakby u siebie w domu.

Każde dzieło jego rozmaite, a jednak jednolite. I to znowu jest przywilejem duchów oskrzydlonych, obejmujących cały widnokrąg. Nie ma przegródek w jego umyśle, albo tylko pozorne. Romanse jego są trajedjami, komedje elegjami, bo smutne są. A jednak nie przeszkadza im to być wesołemi zarazem. Zlanie się szyderstwa z melancholją a gniewu z sarkazmem, które we wszystkich czasach od Aristofana do Plauta, a od Plauta do Moliera cechowało najwyższą sztukę. Śmiech... co za motyw do płaczu! Młodzieniec ten stworzony na miarę wielkich ludzi. Duma i uśmiecha się; myśli i oburza się. Chwilami jego zacięcie szyderskie przybiera akcent tragiczny. Niestety, w ponurej wesołości myślicieli słychać łkania.

Z tych przyczyn i z innych młody ten pisarz posiada w stylu swoim owe nieprzewidziane zwroty, które stanowią życie. Niespodzianka wśród logiki, to najwyższa tajemnica znakomitych pisarzy. Nikt nie potrafi określić zupełnie ściśle tego, co się nazywa stylem. Nie ma wielkiego stylu bez wielkich myśli. Styl, ażeby nim był, zawierać w sobie musi tak niezbędnie myśl, jak owoc nasienie. Cóż to więc takiego styl? To idea w swojem bezwzględnem wyrażeniu, obraz w doskonałej postaci; czem tylko myśl jest, styl jest; styl to słowo zamienione w duszę, język przelany w wyraz. Odejmijcie styl a Wirgiliusz zaciera się, Horacy mdleje, Tacyt ginie. Wymyślono za dni naszych ciekawy barbaryzm „styliści.“ Trzydzieści lat temu idjotyczna szkoła krytyków, dziś zapomniana, wszelkich sił dokładała ku zelżeniu stylu i nazywała go „formą.“

To mi obelga!... f o r m a: piękność. To jakby Wenus hottentocka przemawiająca do Wenus z Milo: „Masz tylko formę!“

Dzieła idą po dziełach; po „Bohême dorée,“ „Rodzina tragiczna“ utwory złożone z daru wieszczego i obserwacji, w których ironia rozpływa się w litość, interes dramatyczny wytężony niekiedy aż do grozy, a inteligencja roskosznie się rozszerza, podczas gdy serce się ściska.

Wszystkie te przymioty: styl, dar wzruszania, dobrotliwości pisarza, cnotę poety, godność artysty—młodzieniec ten zbiera i skupia w wielkiej księdze „Wygnańcy.“ Ta księga jest znakomitem dziełem politycznem. Dla czego? Ponieważ jest znakomitem dziełem literackiem. Kto mówi l i t e r a t u r a, mówi l u d z k o ś ć. Księga ta: „Wygnańcy“ jest protestacją i wyzwaniem; protestacją złożoną u stóp Boga, wyzwaniem ciśniętem tyranom. Dusza jest osobą, wygnanie dramatem; męczennicy bywają rozmaici, męczennik zawsze ten sam; próba się zmienia, próbowany nigdy. To surowe malowidło trwać będzie. Ta księga poważna i tragiczna jest księgą miłości, miłości dla prawdy, dla sprawiedliwości, uczciwości, cierpienia, dla nieszczęścia, dla wielkości prawdziwej; ztąd w niej ta nienawiść głęboka do wszystkiego co szpetne, podłe, niesprawiedliwe i niskie. Ta księga jest nieubłagana. Dla czego? Bo tkliwa.

Wszędzie w niej sprawiedliwość i wszędzie miłosierdzie; piękna dusza wypowiadająca się w pięknym stylu: takim jest ten młody pisarz.

Dodajmy do tego daru natury: patetyczności, dar samotności: filozofję.

Zróbmy nacisk na tę filozofję. Osamotnienie rozwija w duszach głębokich mądrość szczególnego rodzaju, sięgającą po za człowieka. Ta to osobliwa mądrość stworzyła magizm starożytny. Młodzieńca tego w pustkowiu Jersey'skiem i w zmierzchu Guernesey'skim, jak i innych otaczających go pustelników myślicieli, nawiedza taka mądrości. Intuicja prawie wieszcza nadaje wielu pracom jego, tak jak i innych ludzi z tej samej gromadki, szczególną doniosłość. Rzecz to osobliwsza i godna podkreślenia. Cóż zajmuje ten młody umysł? To co i starych. W tym poranku życia, kiedy zdaje się, że każdy ma prawo zestrzelić się jedynie na przygotowywaniu samego siebie—jego, myśliciela, jasnego i pogodnego aż do wybuchu śmiechu, a jednak rozczulonego—porusza i dręczy—strona niezbadana przeznaczenia, los istot skazanych na krzyk lub niemotę, zwierząt, roślin—słowem niższego świata. Zdaje mu się, że widzi w nich wydziedziczonych; schyla się więc ku nim, stwierdza, że są wyjęte z pod prawa wolności i nieomal światła; zapytuje sam siebie, kto ich wypędził w te mroki i zapomina zgięty nad temi banitami, że sam jest wygnańcem. Wspaniałe współczucie, braterstwo istoty obdarzonej mową dla tworów niemych, szlachetne pomnożenie miłości dla ludzkiego świata tkliwością dla reszty stworzenia. Ci żywi u dołu.... jakaż to zagadka! I n f e r i... słowo tajemnicze... niżsi... Ztąd Infernum... Piekło... Rozkopcie marzenia religij, a na dnie ich znajdziecie prawdę. Religje tylko zasłaniają ją, zmieniając jej kształt swojemi przesadami. Każde życie piekielne jest życiem planetarnem, a więc przechodniem; życie niebieskie jest jedynie wieczystem.

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Na koniec, ścisk się trochę przerzedził, bo jedna część tłuszczy rzuciła się na wyprowadzonego w tej chwili z kwatery Hartika, którego ledwie mógł uratować od rozszarpania, oddział piechoty przez W. Zamojskiego przyprowadzony, i ledwie go do zamku odprowadził z obdartą z włosów głową pokrwawioną twarzą i rozszarpanym mundurem.

Stecki po owacji jaką mu robiono nie wiedząc że przed chwilą życie jego zagrożone było, poszedł z nami okropnie zdenerwowanymi po tych obrzydliwych zajściach.

Gdy się takie rzeczy działy w Warszawie, przyjechał tam z Krakowa ks. Henryk Lubomirski, protektor legji Nadwiślańskiej. Trzy szwadrony już były na linji bojowej; czwarty organizował się jeszcze w Staszowie. Książe przyjechał w chęci wyszukania w Warszawie oficerów którzy już w ogniu służyli i jakie takie położyli zasługi, żeby ten ostatni szwadron zorganizować i do czynnej służby usposobić. Naczelny Wódz na komendanta szwadronu przeznaczył kapitana Osmólskiego, a że ten tak prędko wybrać się nie mógł, wię proponował mnie, obiecując mi wyrobić stopień kapitana, ażebym tymczasem dowództwo nowego szwadronu przyjął, i jak najprędzej udał się do Staszowa, dla zluzowania kapitania Strachockiego, króry kilkakrotnie o uwolnienie się z tej posady podawał. Poszedłem po radę do mego Generała, który mi z początku odradzał, ale zastanowiwszy się że przy nim nie mam żadnego zatrudnienia, że odebranie napowrót dowództwa korpusu, ciągnie się w nieskończoność, po namyśle zezwolił; ale musiałem mu dać słowo, że jak tylko dowództwo otrzyma, zaraz do jego sztabu powrócę. Oświadczyłem więc zaraz ks. Henrykowi

moją gotowość do tego nowego zawodu, i na drugi dzień zaraz pojechaliśmy do Modlina, gdzie była główna kwatera Naczelnego Wodza; tam po widzeniu się z nim, książę mnie przedstawił; przed wieczorem jeszcze otrzymałem patent z rozkazem przeniesienia się do pułku legji Nadwiślańskiej. Zameldowałem się oraz pułkownikowi tejże Starzyńskiemu, stojącemu w obozie pod Modlinem, poznałem się z przyszłemi kolegami, znanemi mi po większej części z Galicji i w nocy wróciłem do Warszawy. Zająłem się przebraniem; trzy dni trwało to oporządzenie, a żem nie był zapaśny w pieniądze, więc poczciwy nieboszczyk August Krasiński pożyczył mi sto dukatów w które wliczył niektóre detale swego umundurowania, wprawdzie jakby na mnie robione ale bardzo drogo porachowane; sam zaś będąc trochę ranny, chciał opuścić i opuścił służbę wojskową, utrzymując, że ponieważ nie ma intencji robić karjery wojskowej, a jako bogaty obywatel zrobił już co mu się zdawało powinnością każdego Polaka, dalej narażać się nie myśli na kule, które już do ciała jego drogę sobie wynachodzić zaczynały.

W tem nadszedł z Litwy korpus Dembińskiego, który wszyscy za stracony mieli. Przyjmowany był w Warszawie z największą serdecznością i okazałością. Ja byłem kontent zobaczywszy kilku wracających znajomych a szczególnie Nereusza Hoszowskiego z którym żyłem w wielkiej przyjaźni. Moje przygotowania do wymarszu kończyły się, i na drugi dzień miałem opuścić Warszawę, której nigdy nie lubiłem, a teraz coraz więcej robiła mi się wstrętną. Pożegnałem się więc z familją Fredrów, gdzie tak po przyjacielsku byłem przyjęty i podejmowany; przeniosłem się wraz z końmi do koszar huzarskich, i tam z moim przyszłym szwagrem Michałem Komorowskim stanąłem. Tego samego dnia, śliczna klacz którą dostałem w zamian za bardzo dobrego konia od Mich. Komorowskiego, uderzona przez konia zrzuciła źrebię, i nie mogła nazajutrz iść w marsz 30 milowy; więc znowu przeciągnął się dzień mego wymarszu, nim się ze znaczną dopłatą zamieniałem za pomocą Krasińskiego, na dość lichego ogiera starego i z podrobionemi zębami. Gotów nareszcie, nazajutrz rano musiałem już maszerować. Spotkawszy się z Hoszowskim, daliśmy sobie rendez vous w wieczór u Dorwilowej na Marywilu*). Była to cukiernia połączona z restauracją, a piękna Francuska zwabiała swym urokiem i sprytną konwersacją, masę oficerów, którzy zwykle do późnej nocy tam się bawili. Między zwykłemi gośćmi, bywał codziennie, znany dobrze Józef Dzierzkowski, który że tak powiem honory domu robił. Umiał on wymową swoją zyskać zaufanie i nieograniczony kredyt Dorwilowej, którego hojnie używał dla siebie i dla drugich....

Gubernatorem Warszawy był natenczas gen. Krukowiecki dumny, nadzwyczajnie surowy; był postrachem dla wszystkich młodych oficerów, bali go się ledwie nie tyle, co W. Księcia Konstantego. Między innemi wydał rozkaz dzienny porozlepiany po wszystkich ulicach, ażeby domy publiczne, restauracje, cukiernie, kawiarnie i td. o 11 godzinie już były pozamykane, zastrzegając surową karę pieniężną dla przedsiębiorców, a grożąc aresztowaniem i przykładnem ukaraniem wojskowych, coby nie byli posłuszni temu rozkazowi.

*) Obecnie w tem samem miejscu stoi teatr warszawski. P. R.

Zeszliśmy się w wieczór z Hoszowskim u Dorwilowej, tam już zastaliśmy mnóstwo oficerów tak z korpusu Dębińskiego jako i z garnizonu Warszawy; bardzo było wesołe usposobienie wszystkich, i gawęda huczna przeciągnęła się więcej jak do północy. Idąc na ten wieczór, a nie chcąc ani poniewierać mego nowego munduru, ani występować w huzarskim, który cała Warszawa znała, bo tylko ja jeden go nosiłem; wziąłem na siebie mundur pułku Lubelskiego, bardzo nie ładny, bo to była sieraczkowa krakuska jakiemiś sznureczkami wyszywana. Dla tegom to uczynił, bom już zameldowawszy się w Placu, i wziąwszy marszrutę, nie powinien się był w mieście znajdować. Krukowiecki osobiście nie znał mnie zupełnie i to mi tej nocy bardzo posłużyło.

Po północy kiedy gwar największy był u Dorwilowej, przychodzi Gubernator z jednym tylko oficerem służbowym do cukierni, staje z groźną miną we drzwiach, i donośnym głosem krzyknie: „Aresztuję wszystkich tu obecnych, którzy lekceważą moje rozkazy“. Stanął szeroko we drzwiach otwartych a oficerowi swemu dał rozkaz, żeby natychmiast z najbliższego odwachu patrol silny przyprowadził.

Źle!... Wszystko ucichło, każdy ogląda się jak się ta historja skończy. Ja natenczas ufałem w silne moje nogi; stojąc więc niedaleko drzwi przez Krukowieckiego opanowanych, rzuciłem się do nich, a potrąciwszy Generała wyleciałem jak piorun; po kilkunastu krokach odwróciłem się i zawoławszy na całe gardło „całuj mię . ....“ poleciałem*). „Łapaj“ zawołał Krukowiecki, i dobywszy szpady poskoczył kilka kroków. „Łapaj!“ krzyczeli oficerowie wylatując na ulicę, i każdy w swoją zmykając stronę. Wypróżniła się cukiernia a Krukowiecki pienił się z wściekłości, o czem się później dowiedziałem, że mu się łówka nie powiodła. Ogromnym pędem zaleciałem bez zatrzymania się do koszar; wpadłszy do kwatery, przebrałem się natychmiast w nowy surdut mundurowy i niby najspokojniej na słomę się rzuciłem. Byłem niespokojny, czy za mną który z zauszników Krukowieckiego nie goni, ale przekonawszy się że nikt do nas nie przyszedł, zasnąłem głęboko, aż mnie ranek i ruch w koszarach zbudził. Kazałem posiodłać konie, i zaraz ruszyłem. Wyjechawszy za Warszawę drogą ku Raszynowi, stanąłem, oglądnąłem się i boleśnego uczucia doznałem, przeczuwając, że już tego miejsca nigdy nie zobaczę. Sypano na około Warszawy okopy, systemem Rognota des forts retranchés bardzo dobre, jeżeli wielką ilość dział, i na takie jak Warszawa miasto mogą mieć minimum sto tysięcy wojska do ich obsadzenia. W mieście stały już gdzie niegdzie barykady i podziurawione strzelnicami mury. Wszystko to zasmucało, — przeczuwał się bowiem 5ty akt tego strasznego dramatu.

(C. d. n.)

*) Zastrzegliśmy się przy pierwszym rozdziale tych pamiętników, — że wszędzie, styl i sposób wyrażania się autora zostawiamy bez zmiany. P. R.

GLADJATOR I NIEWOLNICA

Przekład z włoskiego z niewydanych dotąd Sonetów

JANA PRATEGO.

I.

Wyją głodne tygrysy, a nienasycona
Tępi lukańskie kozły żarłoczność Cezara,
W lochach zaś cyrku Cynaks Kantaber, ofiara
Wzniósł zdrowie bladej śmierci, bowiem jutro skona,

A w ciemnym rogu dymem zielska okadzona,
Pali je tracka Elda, wróżyć mu się stara,
I u nóg jego siadła jak milcząca mara,
I łkając opuściła różowe ramiona.

W tem znienacka podnosi zadumane czoło,
Łzy otarłszy udaje mężną i wesołą,
Jak powój go pieszczotą objąć swych opina;

Złoto jej rozplecionych spłynęło warkoczy,
Blada, w niemej rozpaczy, spojrzy jemu w oczy,
Wyda krzyk przeraźliwy i Romę przeklina.

II.

Idź, walcz, umieraj mężu, którego śledziły
Chciwym wzrokiem królewny. Nawet w zgonnej dobie
Ja stanę na piaskowni z dumą choć w żałobie!
Mówiąc butnym Rzymiankom: Oto jest mój miły!

Widzisz, jak srogie bole zwolna wycieńczyły
To biedne mdłe me ciało: a jednak przy tobie
Któż mi z ludzi lub z bogów wzbroni bodaj w grobie
Ledz, zdeptawszy Kapitol i Olimp ich zgniły?

My dzisiaj zwyciężeni: lecz przyjdzie godzina,
Że każda skiba zrodzi mściciela nam syna,
i ziem tu naszych syny spadną jak potoki;

A my wówczas, mój luby, z pod Awernów bramy,
We wiecznym mroku pełną piersią zaśpiewamy
Pieśń, która z głębi piekła huknie pod obłoki!

Rzym w listopadzie r. 1874.

Władysław Kulczycki.

POGADANKI.

X.

Kto miał przodka lub kuzyna, którego za przekroczenie pewnych ogólnie przyjętych pojęć o prawie własności, według dawniejszego barbarzyńskiego zwyczaju powieszono na szubienicy, tego niemile dotknąć musi każda wzmianka o sznurach, hakach i t. p. Z tego to powodu, grzeczni Francuzi ustanowili prawidło przyzwoitości: „On ne parle pas de cordes dans la maison d'un pendu.“ Prawidło to bywa stosowanem w obszernem nader znaczeniu. Nie mówi się o koszach ani o harbuzach z nikim, co doznał zawodu w kandydaturze do stanu małżeńskiego; nie mówi się o rogach z mężem, który dosłużył się tej dekoracji pod komendą swojej małżonki; ignoruje się nakoniec istnienie chronologji w towarzystwie panien, które są na wydaniu już od lat piętnastu—zaprzecza się owszem, jakoby istniała taka umiejętność, lub jakoby wynalezienie jej mogło być pożytecznem. Przeciwne postępowanie byłoby rażącą niegrzecznością. Sądzę jednakowoż, że jak każde prawidło, tak i ta reguła grzeczności ma granice, po za które nie sięga. W szczególności zaś zdaje mi się, że chociaż we Lwowie równie jak w Krakowie mamy wielu uczonych, których uczoność polega jedynie na tem, iż przepisują obce dzieła, to uczeni ci przecież nie mogą wymagać, aby w ich obecności nie mówiono, że ten albo ów profesor i doktór napisał rozprawę, w której nie ma nic oryginalnego, oprócz nazwiska autora. „Uczeni“ galicyjscy tego rodzaju nie są osłonięci przywilejem, który służy pełnoletnim i małoletnim pannom — chociaż Napoleon I. niektóre przywileje kobiece przyznał uczonym, podczas swojej kampanji w Egipcie. Za dawnych czasów, mianowicie gdy zbliżał się nieprzyjaciel, ukrywano kobiety i bagaże wewnątrz taboru. Bonaparte zaś, nie mając kobiet z sobą, na wi-

dok nadlatujących mameluków kazał formować czworobok i zakomenderował: „Osły z bagażami i uczeni do środka!“ Względy takie mogły mieć miejsce u krańców puszczy libijskiej i wobec mameluków uzbrojonych dzidami i kindżałami — ale tu, na cywilizowanym bruku, gdzie mamy zaledwie tyle piasku, ile nam go potrzeba do posypywania naszych prac literackich, i gdzie mamelucy chodzą pieszo, bez dzid i kindżałów, odmówić należy tak osłom, jak i uczonym, egipskiego ich przywileju. Z tego powodu, chociaż dr. Skórski wykazał w *Tygodniu*, że „Studja Platońskie“ dr. Samolewicza są tylko powtórzeniem rzeczy już dawno napisanych, to przecież niepodobna twierdzić, by krytyka ta przekraczała granice przyzwoitości — a jeżeli jakiś, nie wiem, czy uczony, czy kto inny, pisząc „o różnych rzeczach“ w odcinku *Gazety Narodowej*, obrusza się na tę krytykę, to mimowoli czytającemu przyjść musi myśl, że i ten pan fejletonista może mieć powody, dla których nie rad, by komukolwiek zarzucano brak oryginalności. Kto ma słomianą strzechę, ten krzyczy: gwałtu! gdy się pali dom sąsiada. Musi to być jakiś lwowski alchemik albo astrolog, cały uszyty z cytatów spojonych w jedną całość Pismem świętem i „Summą“ teologji Tomasza z Akwinu, który drży, by nie rozpruto na nim tej cudzej sukienki i nie wykazano, w jakim też charakterze Bonaparte byłby kazał jego schować w środek czworoboku, gdyby go miał był z sobą w bitwie pod Piramidami. Obawa to nader słuszna. O drze Samolewiczu wie każdy, że chociaż jego „Studja Platońskie“ nie zawierają ani jednego pomysłu lub poglądu nowego, i chociaż wskutek tego wartość ich naukowa nie jest tak wielką, by mogły figurować w rocznikach Akademji, to jednakowoż tenże sam autor potrafi napisać dzieło, które będzie miało tę wartość. Ale autor „Różnych rzeczy“ nie potrafi tego nigdy, i to tłumaczy nam jego przerażenie.

Nie idzie za tem wszakże, by autor ten nie olśniewał nas w „Różnych rzeczach“ pomysłami i zdaniami zupełnie oryginalnemi. Dosyć przytoczyć jedno z tych zdań, a mianowicie następujące:

„Oryginalność pomysłu, samodzielność dzieła, nie na tem zależy, ażeby pisać rzeczy niebywałe i przez innych nie pomyślane, ale na tem, ażeby to, co inni pisali, czego nauczali, dokładnie sobie przyswoić.“

Więc kto „przyswoił sobie dokładnie“ tak zwany ś. p. „Komeniusz“ w szkołach normalnych, ten jest oryginalniejszym i samodzielniejszym od samego Komeniusza, a kto potrafi udowodnić, że trójkąty mające dwa boki równe i równy kąt między niemi, przypadają do siebie, ten jest genialniejszym od Euklida. Jest to, jak każdy przyzna, rozumowanie niezmiernie oryginalne i samodzielne — cóż z tego, kiedy zaszczyt ztąd nie spada na autora „Różnych rzeczy,“ ale na tego, co sobie „dokładnie przyswoi“ to, co on pisze czego naucza. Αὐτὸς ἔφα!

Ktokolwiek zresztą czytał krytykę dr. Skórskiego, ten przypomni sobie wyrażone tam zdanie, iż nie można już nic nowego powiedzieć o tem, czy „Hippiasz większy“ jest dziełem Platona, lub nie — albowiem dyskusja jest zamkniętą i badacze wyrzekli o tej materji ostatnie swoje słowo. Słusznie więc twierdzi autor „Różnych rzeczy,“ że gdyby kto chciał „wysadzić się“ w tej mierze na zdanie oryginalne, „spłodziłby kolosalne głupstwo.“ Ale też dr. Skórski nie żądał tego bynajmniej od dr. Samolewicza. Nie zaprzeczał mu nawet prawa przyswajania sobie obcych zdań i poglądów. Dał mu jedynie do zrozumienia, że w takim razie przytacza się źródło, i że rozprawa w ten sposób ułożona, może mieć wartość pedagogiczną, ale nie ma wartości ściśle naukowej. Można napisać doskonałe kompendjum n. p. astronomji, ale nie można go układać tak, by mniemano, że autor sam doszedł prawd, odkrytych przez Kopernika, Kepplera i Newtona. Tego oczywiście nikt nie zrobi, bo zbyt powszechnie wiadomo, co nauka zawdzięcza tamtym trzem mężom — ale mniej powszechnie, i tylko specjalistom wiadomo, jakie rezultaty osiągnęło już badanie autentyczności pewnych pism przypisywanych Platonowi, nim dr. Samolewicz ogłosił swoją rozprawę. Z tego powodu, krytyka umieszczona w *Tygodniu* była potrzebną. Dr. Skórski musiał mieć słuszność, gdy twierdził, że rozprawa dr. Samolewicza jest częstem powtórzeniem prac niemieckich uczonych — gdyby bowiem znajdował się w niej jaki własny pomysł dr. Samolewicza, byłby go niezawodnie wskazał jego niefortunny obrońca — a nie uczynił tego.

I od krakowskiej Akademji umiejętności nie można wymagać, by w rocznikach swoich umieszczała takie tylko prace, w których nowe zdobycze przysporzone są nauce. Obok innych, muszą tam być umieszczane i takie rozprawy, w których autor zdaje sprawę z cudzych bądań i z ich wyniku. Ileż to jest działów nauki, do których samodzielnego pielęgnowania uczonym mieszkającym w naszym kraju brak jest środków i sposobności! Ale gdy się jest prostym sprawozdawcą, nie godzi się przywłaszczać sobie obcej zasługi i umniejsza się swoją własną, gdy się to czyni. Krytyka powinna wytykać to bez litości. Czynią u nas słuszne zarzuty krytyce literackiej i artystycznej, lecz nie odnosi się to bynajmniej do krytyki naukowej. Ta powinna i musi być nader surową, i dopuszcza się nawet przesady w tym kierunku, bez szkody dla nauki i dla autora, którego dotknęła. Krytyk, który zgani nie słusznie jaki poemat, albo obraz, przyczynia się tym sposobem do propagandy złego smaku w kołach szerokiej publiki, i staje się szkodliwym. Krytyk dzieła naukowego zaś, pisze tylko dla uczonych i uczących się, a z tych każdy ma obowiązek nie polegać na cudzem zdaniu, ale sam przekonać się o jego prawdziwości. Pobłażliwość miewa tutaj skutki jak najfatalniejsze, prowadzi ona do zakładania towarzystw wzajemnej admiracji, których członkowie usypiają na udzielonych sobie nawzajem wawrzynach, oddzieleni od ogółu dymem własnych kadzideł, jak fałszywe bogi. Jeżeli młodzi adepci „boskiej sofii“ stają na straży, by tego rodzaju olimpijska pewność siebie połączona z bezczynnem, nieolimpijskiem już niedołęztwem nie wkradła się w nasze koła uczone, dają tem dowód odwagi, która sama już jest zasługą. Rzecz naturalna, że tacy panowie piszący „o różnych rzeczach“ irytują się tem niepospolicie — wyjaśniłem na wstępie, dla czego. Jakiego rodzaju jest ten gniew, niech każdy sam osądzi: dr. Skórski pisał o „Studjach Platońskich“ a nie wdawał się w to, kim i czem jest dr. Samolewicz — obrońca zaś tego ostatniego uderza osobiście na dr. Skórskiego, i wytyka mu między innemi, że jest uczniem autora, którego krytykuje. Sądzę, że to obydwu doktorom chlubę tylko przynosi: jednemu, że wykształcił takiego ucznia, a drugiemu, że nie idzie ślepo za swoim mistrzem. I nauce przysłużą się obydwaj więcej, gdy się będą kontrolowali nawzajem, niż gdyby się obsypywali niezasłużonemi pochwałami.

Jan Lam.

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Równocześnie z drem. Hayes, do odmiennego jednak zmierzając celu, udał się inny Amerykanin, Karol Hall, w okolice arktyczne. W chęci ostatecznego wyjaśnienia losu nieszczęśliwej wyprawy Franklina i w przekonaniu, że bodaj kilku z jego towarzyszy musi być jeszcze przy życiu, odpłynął Hall na statku rybackim z Nowego Londynu i ku końcowi września r. 1860 zawinął do sundu Cumberland, gdzie go lody przez dwie zimy w więzach trzymały. Nie mogąc używać statku, zwiedzał Hall pieszo, saniami i na czółnach przyległe swojemu stanowisku okolice, zawiązując stosunki z krajowcami i zbierając od nich wiadomości o podróżnikach, którzy dawniej przybywali w te strony. A był on na gruncie pod tym względem wielce ciekawym, gdyż właśnie w tych okolicach poznali się Europejczycy przed 300 laty po raz pierwszy ze światem arktycznym Ameryki. Jakoż w jednej z wycieczek swoich odkrył Hall na wysepkach w zatoce Frobishera szczątki jakiejś ekspedycji europejskiej, które troskliwie zebrał, poczytując je za szacowne relikwie wypraw Frobisherowskich. Nie małą był mu w tych jego wycieczkach i poszukiwaniach pomocą Eskimos Ebierbing, który z żoną swoją Tukulitu przepędził kilka lat w Anglii i tam się nauczył języka angielskiego.

We dwa lata po powrocie z tej pierwszej wyprawy, w r. 1864 wybrał się Hall na drugą w towarzystwie owej pary Eskimosów, którą przywiózł był ze sobą do Stanów Zjednoczonych. Wylądowawszy na północno zachodniem wybrzeżu zatoki Hudsona, zwiedził on ztąd cały obszar kraju aż do cieśnin Fury i Hekla i ziemi króla Wilhelma, przepędziwszy pięć lat pomiędzy Eskimosami, z którymi tak się zżył, że prawie sam przeistoczył się w Eskimosa. Dopiero we wrześniu r. 1869 powrócił Hall do Stanów Zjednoczonych, po to tylko, aby starać się o środki na wyekwipowanie wielkiej ekspedycji, mającej dotrzeć prostą drogą do bieguna arktycznego.

Krążąc w obu tych podróżach po okolicach dawno już znanych, nie wzbogacił Hall geografji żadnem odkryciem większych rozmiarów, zebrał jednak nieoceniony zapas doświadczeń i niezmiernie obfite materjały etnograficzne, obznajomiwszy się tak dokładnie, jak żaden z poprzedników jego, ze zwyczajami i obyczajami, a szczególnie z językiem Eskimosów. *)

Ale podczas kiedy Hall, odcięty od całego cywilizowanego świata, przebywał pomiędzy Eskimosami, pociągnęły wyprawy szwedzkie i odkrycie mniemanego otwartego morza polarnego przez dr. Hayes, potwierdzające dawniejsze odkrycie dr. Kane, i inne narody europejskie do współzawodnictwa. Dzieło, które Hayes o swojej podróży ogłosił, nastręczyło temat do sporów naukowych, czy widziane przezeń otwarte morze jest istotnie częścią oceanu polarnego, czy też nie. Najzacięciej protestował przeciwko otwartemu morzu polarnemu dra. Hayes inspektor po-

*) *Die Nordwestfahrten im XIX Jahrh.* v. dr. Pechuel-Lösche. *Aus allen Welttheilen* V. 1874.

łudniowej Grenlandji, dr. Rink, a Petermann, opierając się na kierunku i ociepleniu wiatrów i prądów morskich i na tem, że Hayes nie widział nigdzie poza sundem Smitha zniesionego prądami morskiemi drzewa, które znajdowano dotąd wszędzie na wybrzeżach centralnego morza polarnego, dowodził, że owo morze jest tylko znacznem rozszerzeniem kanału Kennedy, w nieznanej dotąd szerokości geograficznej dokoła lądami zamkniętem. W Anglii wystąpił tymczasem kapitan Osborn z planem nowej podróży arktycznej, kanałem Smitha i Kennedy, okrętem, a dalej saniami wprost do bieguna. Równocześnie zawiązał się we Francji komitet w celu popierania dobrowolnemi składkami francuskiego podróżnika Lamberta. Lambert zamierzał dostać się drogą Beringa do tego otwartego morza na północy Azji, do którego Wrangel w swoich podróżach trzy razy był dotarł, utrzymując, że tą stroną najłatwiej będzie można dopłynąć do bieguna. Odkryty przypadkiem w r. 1867 przez Tomasza Long, kapitana statku rybackiego, na północy od przylądka Jakan kraj Wrangla, uzupełniający odkrycie Kelleta z r. 1849,*) wzbudził tem większe zajęcie się projektem Lamberta. Ale podczas kiedy Lambert jeszcze ciągle dopełnienia składkami potrzebnej do swojej ekspedycji sumy oczekiwał, a admiralicja angielska projektu Osborna nie przyjęła, podniósł August Petermann w Niemczech myśl wielkiej ekspedycji arktycznej. Petermann oświadczył się stanowczo przeciwko saniom, bo chociaż przebywano już saniami bardzo nawet znaczne przestrzenie arktycznej strefy, to jednak rezultaty tych podróży i zdobycze ich naukowe, były zawsze bardzo małe. Był on również przeciwnym drodze proponowanej przez Osborna, i odwołując się do doświadczeń zebranych przez podróżników grenlandzkich tego wieku, a mianowicie przez Scoresbych, Graaha, Sabinea i Claveringa, polecał otwarte morze pomiędzy Grenlandją a Spitzbergen, jako jedyną, najwięcej obiecującą drogę dla przyszłej ekspedycji niemieckiej.**) Najgłośniejsze w tego rodzaju kwestjach powagi w kraju i za granicą, jak między innymi Murchison i dr. Breusing, dyrektor szkoły marynarki w Bremen, oświadczyli się za projektem Petermanna. Ale gdy przedsięwzięta w r. 1865 rekonesansowa wyprawa pod kapitanem Wernerem z powodu pęknięcia maszyny nawet z Elby nie wypłynęła, a wojna z r. 1866 w inną stronę powszechną zwróciła uwagę, kołatał Petermann napróżno u rządu pruskiego, a następnie u związku narodowego w Kassel o potrzebne do projektowanej wyprawy posiłki pieniężne. Doznawszy takiego zawodu nie opuścił jednak Petermann rąk małodusznie. Zagrzewany zarówno miłością nauki jak i patrjotycznym zapałem zdobycia swojej ojczyźnie sławy i na tem polu, na którem Niemcy dotąd prawie żadnych zasług nie byli położyli, zredukował on pierwotny plan swój do jaknajmniejszych rozmiarów, i przyjąwszy całe ryzyko na siebie, przyprowadził do skutku pierwszą niemiecką wyprawę arktyczną.

* * *

Dnia 24. maja 1868 r. wypłynął z portu w Bergen statek żaglowy „*Grönland*“ pod dowództwem kapitana Koldeweya. Od r. 1040 był to pierwszy statek niemiecki, wyruszający na wody arktyczne. Koldewey miał polecone w instrukcji swojej: przybić do wschodnich wybrzeży Grenlandji pod 74.5° płn. szer. i płynąć wzdłuż tychże jak najdalej na północ; w razie zaś gdyby do Grenlandji z powodu zbitych zatorów lodowych dostać się nie mógł, miał zwrócić się do Spitzbergen i rozpoznać leżący na wschód od niej kraj kapitana Gilsil, ląd, który już w r. 1707 spostrzegli byli po raz pierwszy marynarze arktyczni, ale któremu jeszcze dotąd nadawano pospolicie epitet „bajeczny“, gdyż nikt do jego wybrzeży przebić się nie zdołał. W Niemczech śledzono z natężoną uwagą postępów tej wyprawy, którą Petermann umiał podnieść do znaczenia przedsięwzięcia narodowego. Ale niestety nadzieje zostały zawiedzione. Koldewey usiłował po dwa razy przebić się do wybrzeży Grenlandji i owego nieznanego kraju na północnym wschodzie Spitzbergen, ale został oba razy przez zatory lodowe odparty. Gdy w początkach września nowy lód począł ścinać morze, widział się zmuszonym do powrotu i w październiku zawinął do Bremerhaven. Pomimo tego nie była to pierwsza wyprawa niemiecka bez korzyści naukowych; owszem zebrała ona wiele cennych spostrzeżeń o prądach morskich, o zjawiskach atmosferycznych, o rozpołożeniu ławic lodowych, które śmiało powiedzieć można, zrównoważyły szczupłe środki, jakiemi wyprawa ta rozrządzała.*)

Świetniejsze jednak były rezultaty podjętej w tym samym czasie czwartej wyprawy szwedzkiej do wyspy Niedźwiedziej i Spitzbergen, której przewodniczyli kapitan Otter i profesor Nordenskiöld, znany zaszczytnie z dawniejszych ekspedycyj arktycznych szwedzkich. Mając doskonale zastąpione wszystkie prawie działy nauk przyrodniczych, zgromadziła ta wyprawa nadzwyczajnie obfity zapas doświadczeń i spostrzeżeń oznaczyła dokładnie rozległość wyspy Niedźwiedziej i wykazała, że jest ona dziesięć razy większą niż dotąd przypuszczano, zbadała formacje węglowe na tejże wyspie i na Spitzbergen, wykonała wiele pomiarów głębokości morza na północy Spitzbergen i pomiędzy tą wyspą a Grenlandją, i oprócz starannych zdjęć geograficznych i zapisków meteorologicznych, przywiozła bogate zbiory botaniczne, zoologiczne i geologiczne.*)

Rezultaty obu tych wypraw, zestawione z odkryciami dawniejszych podróżników, stwierdziły, że pomiędzy Nową ziemią a krajem Gillisa i pomiędzy Spitzbergen a wschodniem wybrzeżem Grenlandji rozpościerają się dwie prawie stałe ławice lodowe. Ławice te, w skutek obwodzącego zachodnie wybrzeże Spitzbergen ramienia prądu golfowego, odsuwają się na północy tej wyspy najdalej ku północy i dlatego mogły statki tylko w tej stronie dotrzeć do 81° płn. szer. Ale gdzie na zachód i wschód od tego miejsca działanie prądu golfowego ustaje, spuszczają się zatory lodowe niżej ku południowi i stawią nieprzepartą zaporę żegludze. Twierdzenie Nordenskiölda jednakże, jakoby poza tym granicznym pasem lodowym polarnego morza okrywały lody i całe centralne tego morza naczynie, tak że po nich chyba saniami podróżować można, nie ostało się wobec kompetentnej krytyki. Silne prądy morskie prowadzące z północy ogromne masy kry, znoszone na wybrzeża Spitzbergen prądami morskiemi drzewo z Syberji, nakoniec odkryte przez Wrangla na północy Azji wolne od lodów morze polarne, to wszystko świadczyło przeciwko twierdzeniu Nordenskiölda, że poza tym circumpolarnym pasem lodowym rozlewać się musi morze, które tylko zimową porą mości się lodem. Chodziło więc tylko o wyszukanie najdogodniejszego miejsca do przebicia tej barjery, a za takie poczytywał dr. Petermann i kapitan Koldewey, pomimo doznanego w swojej podróży zawodu, właśnie prąd wychodzący z morza polarnego wzdłuż wschodnich wybrzeży Grenlandji. W tej stronie bowiem nie zbijają się kry w stałe zatory lecz unoszone szybko ku południowi często się roztrącają i ułatwiają przybicie do lądu. Prąd ten, jakkolwiek okryty ruchomemi płytami lodu, był też kilkakrotnie już przebyty, a skoro się poza niego dostano, znajdywano odkrytą wodę, którą można było płynąć ku północy wzdłuż wybrzeży Grenlandji.**) Ta droga też wytkniętą została drugiej niemieckiej wyprawie arktycznej, zorganizowanej, podobnie jak pierwsza, niezmordowanem staraniem Petermanna.

Nowa ta wyprawa niemiecka składała się z dwóch statków: z parowca śrubowego *Germania* i ze statku żaglowego *Hansa*. Pierwszym dowodził kapitan Koldewey, drugim kapitan Hegemann. Oba statki, zaopatrzone odpowiednio do przebycia zimy w lodach polarnych i jaknajlepiej pod względem naukowym wyekwipowane, wypłynęły d. 15. czerwca 1869 r. z Bremerhaven, mając jak pierwsza wyprawa niemiecka polecenie dotrzeć do wschodnich wybrzeży Grenlandji i płynąć wzdłuż tychże jak można najdalej ku północy. *)

W tym samym roku wyruszyły na morza arktyczne jeszcze następujące wyprawy, już to wyłącznie w zamiarze robienia odkryć, już też łącząc cele naukowe z interesami handlowemi i łowieckimi: Z Bremerhaven parostatki rybackie Rosenthala z Bremy, *Bienenkorb i Albert*, na morza w okolicy Grenlandji, Spitzbergen i Nowej ziemi; z Anglii Lamont na też morza, i kapitan Palliser na morze Karyjskie; z Hamerfestu kapitanowie norwegskich okrętów rybackich, Carlsen i Johannesen i kupiec rosyjski, posiadający kopalnie w Norwegii, Sidorow, również na morze karyjskie; nakoniec z Ameryki pejzażysta Bradford i dr. Hayes do zachodnich wybrzeży Granlandji. Tak więc krzyżowało po morzach arktycznych w r. 1869 równocześnie, oprócz obu statków drugiej wyprawy niemieckiej, jeszcze ośm innych wypraw, nie licząc tych, które jedynie połów wielorybów i fok miały na celu. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*O prawach kobiety — napisał Edward Prądzyński. Warszawa, 1873*). *Dokończenie.*

3). Wyzwolenie ekonomiczne kobiety.

Zaprzeczać istocie żyjącej, obdarzonej uczuciem, wolą i rozumem, prawa przyrodzonego, prawa do pracy a tem samem zdobycia sobie bytu i godności osobistej — to niezawodnie barbarzyństwo, a jednak stan taki miał i ma jeszcze poniekąd miejsce i wydaje się bardzo wielu zupełnie normalnym. I nic nie przeraża zwolenników takiej zasady, bo nic ich nie zastanawia. Przeciwnikom takim bezmyślnym wyzwolenia kobiety, przywodzi autor przed oczy wykazy statystyczne: cyfry mówią same za siebie i wykazują jak olbrzymia jest przewyżka kobiet nad mężczyznami. — Tu jednak nie wytknął autor, że przyczynia się do tego niepoślednio utrzymywanie całych naro-

*) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen*. 1868 str. 1 i 1869 str. 32.

**) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen*. 1868. str. 207.

*) Dr. Petermann *Mittheilungen* 1869 str. 201.

*) Dr. A. Petermann *Mittheilungen* 1868 str; 298, 369, 429, 453; 1870 tabl. 8.

*) E. Behm. *Geograph. Jahrbuch*. III 1870 str 491 i nn.

*) Dr. A. Petermann. *Mittheilungen* 1869 str. 105, 152 199, 341 i tabl, 18; 1870 str. 254.

dów w koszarach, że system państw militarnych wytraca ludność męską, a rygor wojskowy w szeregu nie zapobiega wcale rozwiązłości po za koszarami tylu tysięcy oderwanych od ognisk domowych. Sądzimy, iż rzecz tę byłby autor przedstawił wyczerpująco. Dla łatwych jednak do zrozumienia względów, nie mógł może dotykać tego w swojem dziele.

Rozdział ten poświęcony oraz ostatecznemu rozwiązaniu zagadnienia: jakiej pracy podjąć się może ze skutkiem już teraz kobieta? Stanowczą radą i najzdrowszą autora: zostawcie to doświadczeniu. Przedewszystkiem idzie o to, ażeby ją wyzwolić, podać dłoń pomocną a nie potępiać. „Rozeznajcie prawdę,“ woła autor na przeciwników — „światła nie piętnowania; chleba nie zabijających pocisków tu potrzeba...“ a dalej: „Nie kamienujcie nikogo szczęśliwsze i z łatwej swej cnoty dumne panie! strzeżcie się by kamień wasz, jeżeli ma dobrze trafić, nie powalił co macie najdroższego, waszych synów, braci i mężów.... Dość czczych deklamacyj o „niebezpieczeństwie niezależności“ dla kobiety“. Nie w tem istotne niebezpieczeństwo i zguba dla społeczności, ale jak słusznie twierdzi autor „w bezkarności za proste uwiedzenie, ułatwienia, zachęty, namowy i obietnice, w rozgrzeszaniu mężczyzny za występek przeciw moralności a potępianiu tylko kobiety“.

4). Kobieta w życiu społecznem i publicznem. Świetną, podniosłą myślą natchniony jest cel, wytknięty w tym rozdziale najmłodszemu pokoleniu niewieściemu, jako szkoła przygotowawcza przyszłych obowiązków obywatelskich. Niepodobna streszczać rozwiniętych tu obficie a trafnych poglądów i rad, wszystko to przy dobrej woli dałoby się osiągnąć. Projekt jednak autora, jako mający bezpośrednią wartość dla życia, podajemy dosłownie: o co idzie, mówi sam za siebie:

„Art. I. Ustanawia się dla kobiet wszystkich stanów powszechny obowiązek służby w wydziale publicznego miłosierdzia i oświaty ludowej.

Art. II. Pomiędzy 16 a 25 rokiem życia każda młoda osoba obowiązana jest przed zamążpójściem rok przynajmniej pełnić wskazane sobie obowiązki w zakładach dobroczynnych lub szkółkach elementarnych.

Art. III. Ochotniczki, gotowe dobrowolnie pełnić służbę przez lat dwa, mają w hierarchicznym porządku, względnie do położonych zasług, pierwszeństwo przed innemi.

Art. IV. Uwalniają od tego obowiązku: *a)* względy zdrowia; *b)* konieczność zarobkowej pracy dla utrzymania siebie lub rodziny: *c)* wyższe naukowe studja; *d)* przyjęty już czynny udział w jakiejkolwiek prywatnej instytucji dobroczynnej.

Art. V. Wszystkie młode osoby, z wyjątkiem wymienionych czterech kategoryj wyłączeń, jeżli uchylać się będą od oznaczonej tu powinności, utracą nadać się mające kobiecie prawa obywatelskie, a nadto zobowiązane zostaną do pewnej jednorazowej opłaty na rzecz biednych.

Art. VI. Posady stałe wyższe i płatne w zarządzie tej dykasterji zajmą kobiety, które odznaczały się w służbie obowiązkowej, po skończonych 25 latach. Posady stałe niższe i płatne zajmą, o ile się tylko da, kobiety biedne potrzebujące zarobku“.

Oczywiście przewiduje autor zarzuty, jakieby spotkać mogły nowość podobną, widzi jednak i korzyści spływające na ogół a wobec tych, wszelkie zarzuty okazałyby się nieuzasadnionemi. Najprzód wypływałoby z tego obeznanie się z życiem i z przeciwnościami jego, powtóre zamożniejsze panny znajdowały by zamiast nudów, zajęcie piękne i godne serc szlachetnych, a po trzecie przykład dla młodszej dziatwy patrzącej na zajęcie starszych i oświata ludowa, to korzyści nieocenione.

5) i 6). Stanowisko rodzinne kobiety.
„ „ mężczyzny.

Inne granice moralności dla kobiety a inne dla mężczyzny, albo raczej dla tego ostatniego niema żadnej; niema kodeksu moralności a prawo cywilne potępia znowuż tylko kobietę — oto jedna więcej przyczyna, źródło złego.

W jaskrawem świetle przedstawia zaniedbanie zupełne kobiety co do rozwoju jej intelektualnego i zgubne tegoż skutki. Ale nie sama tu kobieta winna, w razie nawet upadku. I dziś pomimo szczupłego zakresu jej działalności i możności zarobku, mógłby los jej być innym. Uboga wyrobnica, opuszczona dziewczyna, nie koniecznie zeszłyby w nędzy z drogi prawej, a przynajmniej nie tak często, gdyby nie opłakany brak zasad moralności, poczucia honoru, ambicji, w społeczności męskiej. Zwrócimy tu tylko uwagę na sprawiedliwie potępiane przez autora, utarte, powszechnie słyszeć się dające maksymy, jak: „młodość ma swoje prawa i wyszumieć musi, małżeństwo jest grobem miłości, że zabija ducha i gasi natchnienie, że stan ten nie sprzyja naukowemu i artystycznemu powołaniu: a w następstwie tego wszystkiego, że inna jest obyczajowa moralność dla kobiet a inna dla mężczyzn“.

W zakończeniu (rozdział VII) sformułował autor kategoryczną odpowiedź, czego się domaga w imię równouprawnienia kobiety.

Z ośmiu punktów nie przywodzimy tu wszystkich, gdyż autor oparłszy się na kodeksie Napoleona, który z ziem dawnej Polski obowiązuje tylko królestwo, żąda zmiany niektórych praw cywilnych zasadniczych, które w innych państwach i krajach posiada już kobieta.

Wyliczywszy to czego ma prawo domagać się niemowlę, a czego domagać się ma prawo dziewczyna, pracownica (umysłowo czy rękami pracująca) — stawi dalej punkt 5ty tej treści:

„Uwiedziona ma prawo żądać zadosyćuczynienia ze strony uwodziciela, wynagrodzenia za wyrządzoną krzywdę; większej odpowiedzialności za występne czyny — a nadto jednej miary sprawiedliwości dla obydwóch płci: możności „dochodzenia ojcowstwa naturalnego dla dziecka“.

Przeszedłszy z kolei prawa żony, matki i kobiety wszystkich stanów — żąda słowem zupełnie równych praw w wykonywaniu obowiązków publicznych, a w końcu — prawa wyborczego według ogólnych przepisów.

Dzieło całe kończy się pięciu obszernemi przypiskami, potrącającemi o sprawy kobiece z czasów dawnych i nowszych. Zdania tam zawarte światłych, jak głos biskupa orleańskiego, Careya (zbijającego teorję Malthusa o przeludnieniu) są dobitnem poparciem, jak usprawiedliwione jest wołanie o równouprawnienie kobiety.

Każdy nieuprzedzony przyzna, że społeczeństwo, posiadające w tej materji tak wszechstronnie wyczerpujące przedmiot dzieło, powinno uczynić kwestję tę już nie przedmiotem sporu: czy należy lub nie wyzwolić kobietę, ale po prostu kwestją czasu i zabiegów zmierzających do urzeczywistnienia zadania. Na razie podobno i najskromniejsze w tym kierunku usiłowania, długo jeszcze utykać będą na przeciwników: — z postępem, jak słusznie mówi autor „walczyć będą uprzedzenia, rutyna, lenistwo i bojaźń ducha!“

Ale chcąc walczyć, trzeba znać nieprzyjaciela zależności kobiecej, jakim jest stanowczo p. Edward Prądzyński. Silny to szermierz, a silny dowodami, rozumem, zebranemi żmudnie faktami i miłością z jaką przemawia w imię dobra powszechnego. W dziele „O prawach kobiety“ dał niewątpliwie narodowi rzecz godną pierwszorzędnego myśliciela.

Teofil Szumski.

Listy z Warszawy.

III.

Warszawa 15. listopad. 1874.

„Ząb za ząb, oko za oko“ — powiada Stary Testament i tym sposobem zyskuje taką powagę, że ponoś niebo i ziemia przeminą... a oko za oko ludzie wydzierać sobie będą, niemniej o to, czy w formie bardziej czy mniej ucywilizowanej. Chcąc ułatwić pracę przyszłemu historykowi tego ze wszechmiar ciekawego objawu, przytoczę tu kilka faktów z najnowszych dziejów naszego miasta.

Wiadomo wam bezwątpienia, szanowni czytelnicy, że u nas w Królestwie ma się budować tak zwana „kolej nadwiślańska,“ której projekt wyleżawszy się konieczną liczbę lat, zyskał wreszcie „najwyższe zatwierdzenie“ w początkach roku bieżącego. Pomijając szczegóły przeróżnych korowodów, jakie dotychczas towarzyszyły wprowadzeniu w czyn tego projektu, dosyć powiedzieć, że kolej nadwiślańska stała się kamieniem probierczym dwu wygórowanych ambicyj bankierskich — w osobach pp. Kronenberga i Blocha. Oddawna już oni współzawodniczą ze sobą; ale walka ta była cicha i dla szerszej publiczności całkiem niemal obca i nieznana. Od dwu jednak lat zaczęła się już powoli zarysowywać na arenie publicznej, w ostatnich zaś czasach wybuchnęła skandalicznie prawie. Kronenberg utrzymał się przy przedsiębiorstwie kolei nadwiślańskiej; lecz drogo zwycięstwo to przypłacił. Bloch bowiem, nie mogąc już zagarnąć ogromnych spodziewanych zysków do własnej kieszeni, użył przynajmniej wszelkich sprężyn, ażeby i jego „najserdeczniejszy“ pieczonych gołąbków nie otrzymał. Opierając się tedy na ustawie kolei nadwiślańskiej, postępując zatem całkiem prawnie, za pomocą swej klienteli odraczał postanowienia akcjonarjuszów, a za pośrednictwem swoich inżynierów obcinał niemiłosiernie możliwe zyski z przedsiębiorstwa. Spierano się o kierunek drogi, o nasypy, o szyny, o każdą wiorstę i każdą budę strażniczą. Równocześnie atoli pojawiły się w gazetach petersburgskich fałszywe sprawozdania, wyjaśnienia zakulisowych interesów i intryg, obliczenia kosztów przedsiębiorstwa i wreszcie gwałtowne wystąpienia przeciwko osobistościom zainteresowanym w tej sprawie. Wykazało się, że p. Kronenberg nadużywał zaufania swoich klientów, obracając sumy dane sobie do rozporządzenia na cele takie, na które klienci bynajmniej swego głosu nie dali. — wykazały się przekupstwa i praktyki haniebne.

Przez czas jakiś głuchę tylko o tej walce do Warszawy dochodziły wieści. Wiedzieliśmy, że Bloch miljon, a Kronenberg miljon pięćkroć na rzecz kolei nadwiślańskiej poświęcił, że istnieje emulacja nie na żarty — i na tem koniec. Niedawno atoli teatr walki przeniósł się do siedziby „jenerał-gubernatora“ kraju nadwiślańskiego. Jedna i druga strona zaczęła zyskiwać sobie zwolenników zarówno w świecie finansowym, przemysłowym jak i... literackim.

Kronenberg miał za sobą poparcie arystokracji i ultramontanów; Bloch lubiący się otaczać swoją tylko familją, protestant pomimo licznych dobroczynnych zapisów, niewielką tylko liczbę przemysłowców i ludzi fachowych mógł ku sobie pociągnąć. Rzucił się więc na inną drogę — jednał sobie ludzi rozumowaniem, cyframi i ogłaszeniem tych rozumowań i cyfr.

I cóż się stało?

Z początku prasa nasza, nie mająca żadnych wybitnych przekonań i nie roszcząca sobie pretensji do wpływu na sprawy krajowe, bawiła się obustronnym przeciwników zacietrzewieniem i pomieszczała artykuły, odezwy i listy tak z jednego jak i z drugiego obozu, kontenta, że jej przybyło artykułów „gratysowych....“ Powoli i tu jednak potęga mamony wywarła swój skutek. Prasa, chyba przez grzeczność „polityczną“ zwana, zapomniała o dawnych swoich względem siebie niechęciach, zapomniała o starych i młodych, zapomniała o sprawozdaniach z ruchu literackiego i naukowego... a rzuciła się w objęcia jednego lub drugiego finansisty. Nie ma potrzeby wspominać o „Gazecie polskiej,“ — która już od lat kilkunastu na żołdzie Kronenberga wegietuje i tylko niemocą swoich kierowników zamiary swego chlebodawcy kompromituje. — Gazeta polska jest najniższą służką, pokorną i zahukaną. Lecz inne gazety, zagrożone to ubytkiem inseratów, to sprawozdań z ruchu kolejowego, to innemi względami przemieniły się w serwilistyczne narzędzia, któremi wór z pieniądzmi kieruje. Nawet niezależne dotąd „organa opinji publicznej“(!!) odważę cywilną uważają za balast zupełnie bezużyteczny i najchętniej wyrzucają go, gdy się tego okaże potrzeba.

Bloch przecież nie ma tylu ślepych zwolenników, co Kronenberg z arystokratyczną rodziną spokrewniony. To też ogłoszenia Blocha mniej się rozpowszechniają i wymagają od niego znacznych opłat za druk i przyłączanie do gazet jego elukubracyj. Nigdzie zaś nie można wyczytać sprawiedliwej i na gruntownej znajomości rzeczy opartej krytyki tej działalności potentatów finansowych, którym teraz idzie jedynie o pokazanie „kto z nich lepszy“. Jeżeli można wierzyć pogłoskom, Kronenberg uwziął się zgnębić swego adwersarza i do nędzy go przyprowadzić. Niech ich Bóg ma w swojej opiece; do żadnego z nich nie czuję szczególnej sympatji, bo u obu widzę tylko egoizm i pilnowanie własnego interesu, w połączeniu z nienasyconą ambicją, która w użyciu „środków“ nie ma ani sumienia ani honoru.

Publiczność czytająca częścią niecierpliwi się temi sporami, które, w klamry cyfr ujęte, nie przedstawiają żywiołu romantycznego, częścią cieszy się oszczędnościami, jakie w budowie kolei nadwiślańskiej poczynić wypadło, (przeszło 2 miljony rs.) częścią nakoniec utyskuje, że z powodu tych oszczędności płace inżynierów i urzędników znacznie się zmniejszą, gdyż sam przedsiębiorca główny nie może i nie powinien utracić uplanowanych miljonów....

Bądź co bądź p. Kronenberg na własne ryzyko zaangażował już znaczną liczbę fachowych i do budowy przystąpił. Chciał tym sposobem zadowolić znaczną liczbę głosów, domagających się jak najszybszego rozpoczęcia robót i ubezpieczyć się na wypadek okoliczności przewidzianej przez ustawę, która opiewa, że z dniem 13 listopada r. b. ma się już kolej budować pod karą utraty prawa do głównego zarządu tą drogą.

Oto jest krótka histerja nowoczesnej „walki Machabeuszów,“ jak ją nazwał p. Teofil Żminda w swojem „Zwierciedle.“ drukowanem w „Przeglądzie Tygodniowym“. Kto jest p. Teofil Żminda, o tem trudno się w Warszawie dowiedzieć. Dlaczego? Otóż w tym właśnie tak drobnym zresztą fakcie, objawia się wpływ naszych „Machabeuszów“. P. Teofil Żminda był a właściwie i jest zwolennikiem a wielbicielem starej prasy: ma jednak coś zakarbowanego na rzecz Kronenberga i pisze przeciwko niemu. Stara prasa nie pomieszcza podobnych wycieczek: udał się więc do organu oplwanego przez starą prasę, — i oto dlaczego p. Jaksa Bykowki nazwisko swe w sekrecie trzyma. Zapomniał on o antagonizmie obu pras, ale nie zapomniał o swojej ambicyjce..., Pan T. Żminda nie okazał w historji „Walki Machabeuszów“ ani dowcipu ani siły charakterystyki, artykuł jednak został przez p. Wiślickiego (redaktora „Przeglądu“) przyjęty, gdyż temu ostatniemu wydawało się rzeczą właściwą popierać interesa p. Blocha....

(Dok. nast.)

Ze świata naukowego.

„Istar w piekle“, epopeja babilońska.

Ziemie nad Eufratem i Tygrem — Assyrja i Babilonia — były kolebką cywilizacji tak prastarej, jak egipska, albo jak pierwsze początki wschodnio- i zachodnio-aryjskiej. Podczas gdy atoli Egipt i Indje przechowały nam liczne w porównaniu ślady i zabytki swoich zdobyczy umysłowych, czas obszedł się nierównie nielitościwiej z pamiątkami Niniwy i Babilonu. W ostatnich latach dopiero udało się z łona niepokażnych na oko kurhanów, wydobyć na jaw świadectwa zniknęłej wielkości i oświaty, której siedzibą były niegdyś okolice, deptane później wojowniczemi pochodami Persów, Partów, Arabów, Mongołów i Turków. Pierwsza i główna zasługa w tej mierze należy się Anglikom, i niezmordowane poszukiwania takich uczonych, jak Layard, Rassam, Loftus i Rawlinson od r. 1847 począwszy, nagromadziły w sześciu asyryjskich galerjach brytańskiego muzeum w Londynie skarby nieocenione: płaskorzeźby, napisy, zbroje, rzeźby, i inne zabytki, sięgające dziewiątego, dziesiątego i jednastego wieku przed narodzeniem Chrystusa. Najdawniejszą z tych pamiątek jest napis assyryjski, odkryty przez Rawlinsona, a zdaniem jego pochodzący z r. 1100 przed Chr.

Asyryjczycy i Babilończycy należeli do plemienia semickiego, t. j. byli pobratymcami Hebrejczyków, Arabów, Syryjczyków i Fenicjan. Używali pisma „klinowego,“ którego wynalezienie przypisują uczeni jakiemuś ludowi turańskiemu (tatarsko - uralskiemu) używającemu pierwotnie hieroglifów. Ze skrócenia hieroglifów powstać miały znaki klinowe, służące do oznaczenia głosek. Klinowy kształt kresek, z których składały się te znaki, pochodzi ztąd, iż wybijano je dłutami w kamieniu. Babilończycy mieli już dogodniejszy materjał do pisania: tablice gliniane, które wypalano, pokrywszy je pismem. Jedna z takich tablic, zaopatrzona napisem, iż jest własnością „Sardanapala, króla narodów,“ a więc, pochodząca z siódmego przed Chrystusem wieku, zawiera fragment jedynej epopei semickiej, dotychczas znanej. Fragment ten, jak go odczytali uczeni, wraz z objaśnieniami i rytmicznem tłumaczeniem niemieckiem, wydał teraz właśnie w Giessen, dr. E. Schrader—a przedmiot tego rodzaju zbyt jest ciekawym, byśmy nie mieli zdać o nim sprawy czytelnikom „Tygodnia,“ odsyłając każdego po gruntowniejszą informację do właściwych źródeł.

Przedewszystkiem nadmienić tu należy, że odkrycie zabytku, o którym mowa, pomięszało niepospolicie szyki uczonym niemieckim, zbyt skłonnym do tworzenia ogólnych prawideł na podstawie kilku zaledwie znanych szczegółów. Prawidła takie zastosowują się później apriorystycznie do wszystkiego, póki ich nie zburzy namacalna oczywistość, jak w tym wypadku. Rozprawiano wiele o tem, iż żaden naród semicki nie miał epopeji, wynaleziono nawet w charakterze Semitów pewne właściwości, które miały dowodzić, iż utworów poetycznych tego rodzaju nie tylko nie mieli, ale nawet mieć nie mogli. Teraz, gdy znalazła się epopeja babilońska, ścieśniono owe twierdzenia do Żydów i do Arabów, na tej podstawie, iż epopeja wymaga bogatej mitologji, a u Izraelitów i Ismaelitów monoteizm bardzo wcześnie wziął górę nad politeizmem. Są jednak domysły, że zaginione utwory hebrejskie: „Księga walk bożych“ i „Księga szlachetnych“ mogły być poematami bohaterskiemi w ścisłem tego słowa znaczeniu, zwłaszcza, gdy Pismo Święte starego zakonu świadczy wymownie o potężnym talencie epicznym autorów hebrejskich. O epopei zaś asyryjsko - babilońskiej nikt już teraz wątpić nie może.

Fragment przełożony przez dr. Schradera składa się ze 135 wierszy, i jest ułamkiem z większego poematu, traktującego asyryjską legendę o Istubarze. Istubar jest to Noe. Parę lat temu odkryto napis babiloński, opisujący potop w sposób dość zgodny z podaniem Mojżesza, a nadający ocalonemu w Korabiu patrjarsze nazwę powyższą. Fragment niniejszy zaś opisuje podróż do piekieł bogini Istar (u Hebrejczyków i Fenicjan zwanej Astartą). Była to Wenus semicka, bogini życia, urodzajów, płodności — podczas gdy siostra jej rozkazywała piekłu, śmierci, zniszczeniu. Istar chciała odwiedzić tę siostrę, ale poróżniły się obydwie z powodów, które na zawsze pozostaną tajemnicą, bo w tem miejscu znajduje się szczerb w glinianym manuskrypcie. Istar doznaje tedy w piekłach jak najgorszego przyjęcia, u każdej bramy obdzierają ją stróże z jej strojów i klejnotów. Bram tych jest siedm głównego wchodu piekieł pilnuje „stróż wody,“ przypominający greckiego Charona. Bogini piekieł więzi siostrę, w skutek czego ustaje na ziemi wszelka płodność i urodzaj wszelki. Widzi to słońce, („Samas“) które u Asyryjczyków i Babilończyków jest synem księżyca („Sin“) i idzie na skargę do króla bogów, zwanego Ao. Król bogów wysyła gońca do piekieł, bogini tamtejsza stawia opór i powstaje żwawa sprzeczka między nią a gońcem, ale wola króla bogów przemaga, i Istar wraca na ziemię, otrzymawszy poprzednio u każdej bramy piekielnej strój, który jej odebrano. Jak widzimy, opowiadanie to przypomina myt grecki o porwaniu Persefony, i zarówno z nim jest alegorją odnoszącą się do zimowego snu przyrody i do odżycia jej na wiosnę.

Tablica, z której odczytano ten fragment, pochodzić ma, jak wyżej nadmieniłem, z wieku siódmego przed erą chrześcijańską — na wszelki wypadek atoli zawiera ona tylko kopję oryginału nierównie dawniejszego. Dr. Schrader przypuszcza na podstawie różnych okoliczności, że oryginał ów powstał tysiąc paręset lat przed nar. Chrystusa — byłby to więc zabytek równie stary albo i starszy od ksiąg Mojżesza. Charakter opowiadania ma cechy wspólne z wszystkiemi epopejami ludowemi: obrazowość, rozwlekłość, i częste powtarzanie się tych samych zwrotów mowy. U każdej z siedmiu bram piekielnych, Istar powtarza te same skargi i otrzymuje tę samą odpowiedź od sług swojej siostry. Państwo tej ostatniej nazywa się „krajem bez powrotu, państwem trupieszenia, domem, którego wejście jest bez wyjścia,“ itd. Bogini piekieł, nim ulega rozkazowi boga Ao, zachowuje się nader niesfornie i woła na swego sługę: „Idź zburzyć pałac sprawiedliwości, obal jego filary!“ Gdy Istar wraca i odbiera swoje stroje u każdej bramy, poemat opowiada to niemniej dokładnie i obszernie. Z czasem, dojdą może do wiadomości naszej inne ułamki tej epopei, odczytane przez uczonych z trudem, o którym nie mają wyobrażenia przyzwyczajeni do wszelkiej łatwości w tej mierze, czytelnicy rzeczy tegoczesnych.

J. L.

O meteorach, bolidach i gwiazdach spadających

napisał

Dr. W. URBAŃSKI.

Meteory wodne, deszcze, śniegi i grady są powszedniemi zjawiskami atmosferycznemi. Nikogo one już więcej nie wprawiają w zdumienie, chociaż niekiedy zwykłe granice wielkości znacznie przechodzą i nieraz ogromne zrządzają szkody i spustoszenia. Mało też kto zastanawia się dziś nad ich powstawaniem i znaczeniem w gospodarstwie świata roślinnego i zwierzęcego na naszej planecie, gdyż te rzeczy od dawna są znane i w nowszych czasach z całą dokładnością zbadane. Dobry uczeń szkół średnich umie szeroko rozprawiać o „kolistym ruchu wody na ziemi,“ rozumiejąc pod tem sprawę parowania onej i następnego zgęszczania się tej pary w chmurach, które pędzone wiatrami na wszystkie strony świata, sieją deszcze i śniegi, zaopatrujące wodą źródła i strumyki, jeziora i rzeki, a zarazem i całą roślinność, rozpostartą kobiercami na powierzchni ziemi.

Rzadszem i dlatego ciekawszem zjawiskiem jest spadanie z powietrza rozmaitych ciał organicznych i nieorganicznych, niekiedy w bardzo wielkiej ilości już to w kształcie barwnego pyłu, powlekającego czasem po ulewnym deszczu szerokie obszary, już to w rojach niezliczonych owadów, dla roślinności zazwyczaj wielce szkodliwych. Istoty te silnemi wichrami do góry porwane i z wiatrem daleko niesione, spadają zazwyczaj dopiero po bardzo dalekiej wędrówce, nie mogąc się dłużej utrzymać w powietrzu, straciwszy całkiem nabytą chyżość pędu.

Ztąd się wzięły między ludem baśnie o siarczystych i krwawych deszczach, uważanych zawsze przez prostaczków za skazówki i przepowiednie jakichś nastąpić mających nieszczęść.

Góry wulkanicznej przyrody z otworów, kraterami nazwanych, wyrzucają nieraz bardzo wysoko śród gęstego dymu wielkie masy żarzących się brył lawy i okruchów, pochodzących ze skalistych ścian kraterów. Większe zaraz w pobliskości spadając pokrywają w około szerokie okoliczne pola. Mniejsze uprowadza ze sobą dalej prąd powietrza, a wulkaniczny pył, niewłaściwie „popiołem“ nazwany, panujący wiatr silny porywa ze sobą i czasem niesie nad podziw daleko. Te wulkaniczne popioły, opadłszy na dół, pokrywają ziemię nieraz bardzo grubą warstwą. Tym sposobem popioły, które Wezuwiusz za panowania rzymskiego cesarza Tytusa w r. 79 ery chrz. wyrzucał, zasypały całkiem miasta: Pompeję, Herculanum i Stabiae, dopiero w naszych czasach odkopane. Ziemskie pochodzenie wszystkich ciał tego rodzaju, spadających z powietrza na ziemię w miejscach, gdzie nie powstały, jest zawsze niewątpliwe i łatwe do rozpoznania.

Zupełnie inaczej się ma z ciałami, spadającemi z wielkich wysokości, a nie mającemi oznak ziemskiego pochodzenia. Według ludowego podania, są to „kamienie strącone z nieba,“ a jeśli więcej ich razem spadnie, nazywa się to ciekawe zjawisko „deszczem“ czyli „gradem kamiennym.“ Aerolity, czyli meteoryty naukowa ich nazwa.

Lecz czy jest w ogóle rzeczą możliwą, aby z tak mało gęstej atmosfery, jak nasza ziemska, w której się już mała jaskółka z postrzelonem skrzydełkiem nie utrzyma, mogły spadać ciężkie, niekiedy wielocentnarowe kamienie, które się do

niej z ziemi żadnym sposobem dostać nie mogły? Czyż miałyby one być istotnie pozaziemskiego pochodzenia? i dostawać się do naszej atmosfery z dalekiej przestrzeni światowej?

Uczeni 17go i 18go stulecia nietylko tego ostatniego zdania, „jako całkiem dziwacznego“ nie przypuszczali, ale nawet wszystkie podania ludowe o „kamiennych deszczach“ i spadaniu pojedyńczych kamieni z nieba za niedorzeczne baśnie i czcze mamidła uważali i za takie w pismach swoich głosili, utrzymując stanowczo, że niemasz rzeczy śmieszniejszej, jak wierzyć w podobne głupstwa. Nawet ówczesna akademja paryska oświadczyła się była przeciw onemu podaniu ludowemu, chociaż niejednemu z ich członków dobrze były znane wyraźne o tem wzmianki w pismach Chińczyków, Indjanów, Greków i Rzymian. Lecz taki to już los bywa częstokroć uczonych korporacji, zowiących się akademjami, że się nieraz opierają uznaniu prawdy, której pierwsze światło wyszło nie z ich łona, przez co też nieraz wzrost nauki w pewnym kierunku powstrzymują. Wszak daleko później, bo za czasów pierwszego konsula Francji, ta sama akademja paryska uznała Fultona za warjata, a jego pomysł, zastosowania pary do żeglugi morskiej w celu zawojowania Anglji za czczą mrzonkę, w zagorzałej głowie powstałą!! A jednak po 10 latach parowa fregata Fulton przerzynała majestatycznie fale Atlantyku!

Najdawniejsze dokładne opisanie spadnięcia meteorytu znalazł de Guignes u Chińczyków. Jest tam wyraźna wzmianka o chmurze, z której kamień wypadł i o mocnych grzmotach z następnym łoskotem, z jakim spadł na ziemię. Chińscy pisarze w rocznikach swoich od połowy 7go stulecia przed Chr. aż do r. 333 ery chrześcjańskiej wspominają w ogóle o 16 zjawiskach tego rodzaju. Najpierwsze z nich wydarzyło się na wiosnę r. 644 przed Chr. w chińskiej prowincji Song, gdzie pięć kamieni naraz miało spaść z nieba. Także u Greków wspomnienie o spadłych z nieba kamieniach jest bardzo dawne gdyż znachodzi się już w 15 księdze Iliady, gdzie Jowisz mówi o dwóch kowadłach, które jeszcze za czasów Eustathusa w 12tym wieku ery chrz. pokazywano i według starodawnej tradycji za „kamienie z nieba spadłe“ uważano. Pindar 2350 lat temu był może naocznym świadkiem spadnięcia (w r. 476 przed Chr.) ogromnej masy kamiennej koło Aegos Potamoi w Tracji, którą ponoś jeszcze za czasów Pliniusza jako bryłę wielkości zwyczajnego wozu oglądać było można. Liwiusz w swojem dziele wspomina kilka razy o „kamiennym deszczu w Italji,“ mianowicie z całą pewnością o tym, który w r. 654 przed Chr. padał na górze Albańskiej.

Dalekiej też starożytności sięga ów czarny kamień w Kaaba, który według mahometańskiej tradycji aniołowie z nieba przynieśli do Mekki, a który zdaniem Burtona i Partscha jest niezawodnie meteorytem.

Z wiarogodnych świadectw i innych niewątpliwych oznak wnosić można z całą pewnością, że od tych najdawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego bardzo wiele w mowie będących meteorów pojawiać się musiało na niebie i z tych wiele spadło istotnie na ziemię. Lecz nie zawsze znaleźli się na miejscu widzowie, którzyby wieść o tem przekazali byli potomności. Jeśli zaś to w okolicach zamieszkałych nieraz stać się mogło, to tem bardziej wszelka wiadomość o takiem zjawisku przepadała prawie zawsze w pierwotnych lasach, tudzież na puszczach i stepach, na szerokim oceanie i między lodami przybiegunowemi, gdzie stopa ludzka nigdy, albo przynajmniej podówczas nie postała. Nie ma też co się dziwić, że prawie zawsze tylko ludzie prości byli naocznymi świadkami spadnięcia meteorytu, a uczeni bardzo rzadko kiedy je widzieli, bo tamci nierównie częściej przebywają na wolnem powietrzu i w ogóle jest ich bez porównania więcej, niż tych. Temu też przypisać należy, że w stuleciu wygórowanej oświaty i w kraju, jak Francja, wszystkie podania i sprawozdania o meteorytach miano w uczonych kołach za proste bajki i obłęd ludowy. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Nauka o rzeczach, napisał, zebrał i ułożył Henryk Wernic. W Warszawie. 1874.

Nauka o rzeczach ma na celu wykształcenie władzy spostrzegawczej o rzeczach, podaje więc w formie pytań i odpowiedzi, jako dziecinnemu pojęciu najodpowiedniejszej, materjały do nauki o rzeczach. Książka ta jest częścią bibljoteki, którą redakcja „Opiekuna Domowego“ pod tyt. „Wychowanie Domowe“ wydaje. Wychowanie domowe wychodzi w trzech działach I. dział obejmuje wychowanie fizyczne zawiera: a) higjenę i djetetykę dziecięcia, b) gimnastykę wychowawczą, c) kształcenie zmysłów; drugi poświęcony wychowaniu duchowemu obejmuje: a) kształcenie umysłu, b) kształcenie uczucia, c) kształcenie woli (charakteru).

— O Towarzystwach zarobkowych i gospodarczych według ustawy z dnia 9. kwietnia 1873, z uwzględnieniem odnośnych ustaw w Niemczech obowiązujących. Wykład systematyczny napisał Dr. Leonard Piętak. Lwów. 1874.

We wstępie znajdzie czytelnik w tej pracy szanownego profesora tutejszego uniwersytetu krótką wzmiankę socjalnych przyczyn powstania towarzystw zarobkowych i gospodarczych, ich cele, rodzaje i ustawy do nich się odnoszące. Dalej podaje autor ściśle jurydyczne pojęcia towarzystw zarobkowych i gospodarczych; mówi o podstawach kredytu i prawnem znaczeniu majątku, o stanowisku prawnem w ogólności, dalej o zawiązaniu i przystąpieniu członków, o stosunkach prawnych w towarzystwie ukonstytuowanem, o zmianach w towarzystwie i ich skutkach, wreszcie o rozwiązaniu towarzystw i jego skutkach. Dodatek zawiera samą ustawę o towarzystwach zarobkowych i gospodarczych. Teraz właśnie, gdy i u nas ruch stowarzyszeń znacznie się wzmaga, książka ta jest bardzo na dobie, zwłaszcza że wyłożona stylem jasnym i potocznym.

— Pamiętnik warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych z roku szkolnego 1873 na 1874. Rok piąty. Warszawa. 1874.

Oprócz zwykłych sprawozdań zawiera ten pamiętnik rozprawy: „Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki religji i moralności dla głuchoniemych“ i „O kongresie odbytym d. 3—8 sierpnia 1873 roku w Wiedniu, w sprawie wychowania ociemniałych.

— Rozbiór teorji Darwina czyli Geneza gatunków ze stanowiska racjonalnej krytyki, przez T. Skomorowskiego z 38 drzeworytami w tekście. Warszawa. 1874.

— O osadach rolnych i przytułkach rzemieślniczych dla moralnie zaniedbanych dzieci przez J. T. Wedemana obrońcę przy senacie. Warszawa 1874.

Niemiecka.

— Die Natur und Entstehung der Träume, von Strümpell. Leipzig. 1874.

Autor stara się w dziele tem najgłówniejsze objawy snów za pomocą psychologicznych badań wytłómaczyć. Skreśliwszy na wstępie historyczno-umiejętne znaczenie snów zastanawia się w rozdziałach następnych nad główniejszemi pytaniami dotyczącemi życia podczas snu: czyli też dusza w stanie każdego spania śni, nad stosunkiem świadomości snu do świadomości jawu, nad pamięcią, mówieniem podczas snu, świadomością miejsca, czasu, nakoniec nad przyczyną niepamięci snu. Na wszystkie te pytania odpowiada autor drogą empirycznych badań i z wielką zręcznością udowadnia, iż dusza podczas snu prawom normalnym zupełnie podlega. Ostatni oddział „o sposobie powstawania snów“ wyjaśnia takowy na snach powstałych z drażliwości i wrażliwości nerwów mających siedlisko w zewnętrznych zmysłach naszych, które na śpiącego oddziaływują. Szkoda, iż autor nie objaśnił nieco obszerniej nader ciekawego stosunku snów do illuzji i hallucynacji. Podobnej treści dzieło niemniej gruntownie opracowane posiadamy i w ojczystej literaturze naszej przez Dr. Szokalskiego wydane w Krakowie, Fantazyjne objawy zmysłowe. Tom I. II.

— Ule Dr. O. Die Erde und die Erscheinungen ihrer Oberfläche in ihrer Beziehung zur Geschichte derselben und zum Leben ihrer Bewohner. Eine physische Erdbeschreibung nach E. Reclus mit 30 Buntdruck-Karten, sonstigen Beilagen u. ca. 300 Text-Illustrationen. Leipzig. 1874.

W roku 1868 wyszło w Paryżu dzieło znakomitego geografa E. Reclus pt. „La terre, description des phénomènes de la vie du globe.“ Na podstawie tegoż opracował i przerobił p. Ule powyższą książkę dla szerszej publiczności, starając się własnymi uwagami francuskiego pisarza dzieło uzupełnić.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Recenzja dr. A. Skórskiego o „Studjach Platońskich“ dr. Samolewicza wywołała fejletonową odpowiedź w „Gazecie Narodowej,“ pod którą autor nie miał się odwagi podpisać. Odprawę otrzymał za to dziś od autora „Pogadanek.“ Odprawa ta może bardzo surowa, lecz niemniej zasłużona; ktokolwiek strzelając z zapłotu, napada osobiście na pisarza za to, że ten miał odwagę wytknąć drugiemu pisarzowi brak oryginalności — ten nie zasługuje by się z nim inaczej obchodzono. Czas już najwyższy, aby pod artykułami podpisywali się panowie piszący. Fejletoniście „Gazety Narodowej“ radzimy wziąć to sobie do serca, gdyż w razie przeciwnym gotowiśmy się dowiedzieć, jak on się właściwie nazywa.

— Temi dniami pojawiła się drukiem broszurka p. t. „Kilka słów o teatrze,“ napisana przez byłego dyrektora artystycznego lwowskiego teatru, p. Stanisława Dobrzańskiego. Jakkolwiek niewielkiej objętości (32 stronic), zawiera w sobie jednak wiele treści, wiele trafnych uwag i spostrzeżeń, wypowiedzianych ze ścisłą przedmiotowością a przytem gruntowną znajomością przedmiotu, wiele zdrowych i praktycznych rad... Na wstępie podaje autor krótki obraz obecnych dość smutnych stosunków teatrów polskich, warszawskiego, krakowskiego i lwowskiego. Następnie, konstatując materjalistyczny, lekki kierunek smaku za granicą i u nas, wypowiada przekonanie, że przedsiębiorstwo prywatne, zmuszane z natury rzeczy interesem własnej kieszeni do schlebiania zepsutemu smakowi publiczności, nigdy nie zdoła podnieść z upadku sceny i sztuki. Poświęciwszy kilka uwag krytyce teatralnej, przechodzi autor do stosunku tutejszej opery do dramatu. W przekonaniu jego ani dramat ani opera nie mogą zakwitnąć we Lwowie, dopóki mieścić się będą „w jednym i tym samym“ budynku teatralnym, dopóki dla opery nie powstanie osobny budynek. Obecnie bowiem dramat i opera wydzierają sobie wzajemnie po 15 dni w miesiącu, a koszta ich wynoszą tyle, że na pokrycie ich potrzebaby obojgu 30 dni w miesiącu. Prócz tego subwencja roczna uchwalana przez sejm nie wystarcza żadną miarą na utrzymanie dobrej opery. Dalej wytyka autor ze znajomością fachowego człowieka wszystkie wady i niedostatki techniczne: zabudowania teatralnego, oświetlenia, wentylacji, maszynerji, orkiestry i garderoby. Z powyżej streszczonych uwag wysnuwa autor konsekwentnie następujące warunki, niezbędne do utworzenia sceny wzorowej:

1). Scenę polską we Lwowie Sejm przyjmie na koszt kraju.

2). Wydział krajowy rozpisze konkurs na dyrektora artystycznego, wymagając od kompetentów egzaminu z dramaturgji, estetyki, literatury itp.

3). Wydział krajowy zaniecha utrzymywania „stałej“ opery we Lwowie, póki nie powstanie drugi budynek teatralny. Cel ten dałby się osiągnąć przez

przerobienie sali sejmowej na teatr w guście warszawskiego „Teatru Rozmaitości.“

4) Wydział krajowy wyznaczy komisję cenzurującą ze stanowiska estetycznego repertoarz teatralny.

5) Wydział krajowy ustanowi corocznie dwa konkursa dramatyczne, a mianowicie jeden, w którym sędzią będzie komisja czytająca, drugi, w którym sąd oddany będzie głównie samej publiczności.

6). Wydział krajowy postara się o fundusze na przebudowanie teatru i przerobienie na teatr sali sejmowej.

Któżby się nie zgodził na tak idealne wymagania? Ponieważ jednak urzeczywistnienie takowych należy do marzeń, na których spełnienie podobno długo jeszcze czekać będzie trzeba, należy przeto liczyć się przedewszystkiem z faktycznym stanem rzeczy. Sprawie teatru lwowskiego, poświęcimy wkrótce szereg artykułów, w których będziemy mieli sposobność pomówić obszerniej o projektach p. St. Dobrzańskiego.

— Znany nasz pieśniarz mazowiecki, Teofil Lenartowicz miał właśnie ukończyć obszerny poemat „Wanda“ — który ma być prawdziwą epopeją słowiańską. Z niecierpliwością oczekujemy ogłoszenia drukiem tego dzieła.

— „Magazin für die Literatur des Auslandes“ w Nr. 46 z d. 14 bm. umieszcza bardzo pochlebną recenzję o przekładzie Odyssei Lucjana Siemieńskiego. Recenzent chwali przedewszystkiem formę jaką tłumacz obrał.

— Odbijanie Albumu Jana Matejki w zakładzie typograficznym S. Lewentala już się rozpoczęło. Pierwsza serja wyjdzie na nowy rok 1875. — Do tego albumu dołączony będzie tekst objaśniający.

— Muzeum narodowe w Rapperswylu wzbogaciło się nabyciem przez Wł. hr. Platera na rzecz tego zakładu wszystkich zbiorów po śp. Leonardzie Chodźce, które sam nieboszczyk cenił na 80.000 franków. Jest to zbiór dzieł, manuskryptów, korespondencji, ważnych dokumentów do historji polskiej, atlasów i innych cennych przedmiotów.

— Rada miasta Krakowa odstąpiła na własność księciu Władysławowi Czartoryskiemu dawny arsenał miejski i baszty przy bramie Florjańskiej, na pomieszczenie jego bibljoteki, zbiorów starożytności i dzieł sztuki.

— Jak się dowiadujemy budowa pracowni dla Matejki w Akademji sztuk pięknych w Krakowie postępuje znacznie na koszt rządu. Sala ta będzie oświetloną z góry szkłem grubem, matowem, po bokach będą wielkie okna, mogące wedle potrzeby być otwierane lub zamykane okiennicami.

— Komedję hr. Koziebrodzkiego „Miłe złego początki“ przełożył jeden z literatów wiedeńskich p. Marks na język niemiecki. Będzie ona wkrótce graną w teatrze „an der Wien“ p. t. „Recept gegen Hausfreunde.“ Niewątpimy, iż ta komedja przypadnie Niemcom do smaku.

— Zaszczytnie znany malarz p. Gryglewski pracuje nad nowym obrazem w pałacu wilanowskim. Płótno to jak nam donoszą zostało ukończone i przedstawia widok wnętrza sali zwanej „królewską“ w pałacu niegdyś Sobieskich, dziś Potockich. W obrazie tym występują świetnie zalety cenionego w kraju i zagranicą perspektywisty.

— Obrazy malarzy polskich na tegorocznej wystawie sztuk pięknych Berlinie, przy ulicy „pod Lipami“ w gmachu obok uniwersytetu, jakkolwiek nie licznie reprezentowane, doznały pochlebnego przyjęcia w opinji nieprzychylnych nam Berlińczyków i niezawodnie niepomału przyczyniły się do nadania rozgłosu malarstwu naszemu. Niemcy niby ze snu zbudzeni, przecierają oczy i niewymownie zdziwieni, przyznać muszą, że stał się fakt, przed którym i im wypada uchylić czoła.... Najwięcej ciekawości i sympatji budzi dla siebie płótno nieodżałowanego M. Gierymskiego „Polowanie za czasów Ludwika XV“. Krajobraz na tym obrazie wielce przypomina lesiste i pagórkowate okolice nasze, a złudzenie byłoby całkowitem, gdyby nie kostjumy strzelców i piqueur'rów, Francuzów z przeszłego wieku. Ogólnie cenione są wysoko jego zalety i ściąga do siebie mnóstwo widzów, chociaż nie można go zaliczyć pomiędzy najlepsze prace zgasłego mistrza. „Polowanie,“ jest własnością kupca Liepkego w Berlinie, który je ceni na 8.500 talarów i ma już dwóch amatorów na swój towar.— Drugi obraz tego malarza nosi tytuł „Nad Wisłą“ i przedstawia sobą widok miasteczka nadgranicznego z zaboru moskiewskiego. Domek objeszczyków moskiewskich ze strażnikami, poszarpane strzechy chałup, chłop wyciągający z wody kłodę drzewa, z szarem niebem nad sobą, gotowem lunąć deszczem — nadają malowidłu koloryt ponury, nie pociągający ku sobie Niemców, lecz wiele mówiący do serca polskiego. Artysta widocznie miał tutaj na myśli lud polski, który przy ogólnem zniszczeniu i pod nosem Moskali, strzegących granic, oraz przy nadciągających chmurach nie zawierza swojej pracy odrodzenia, obiecującej wiele w przyszłości (silne koniki.) Widok ten jest własnością rodziny śp. Gierymskiego, która go ceni 1260 talarów. — M. A. Piotrowski przysłał swój ładny obrazek „Na słówko“ znany z pochlebnej oceny krytyki na wystawie lwowskiej tegorocznej. Wysoka wartość tego utworu autora „Wandy“ i „Flisaków“ powszechnie cenionych, skłoniła Tow. sztuk pięknych w Królewcu do nabycia go na własność. — „W. Stryjowski“ z Gdańska nadesłał dwa obrazy. Jeden z nich nosi tytuł „Młodzież Gdańska ze stanu patrycjuszów i plebejuszów w wieku XVII“ i przedstawia scenę bitki pomiędzy chłopcami z mieszczan a paniczami na ulicy miasta. Rzecz odbywa się w zimie, przyczem ulicznicy ciskają śnieżkami na panicza cofającego się z wydobytą szabelką i jakby zasłaniającego odwrót porządniej ubranej grupy chłopców. Obraz ten wielu ściąga do siebie wielkiem wykończeniem szczegółów i żywością kolorytu. Cena jego 500 talarów. — Drugiemu dano tytuł „Taschlech“ i przedstawia grupę żydów, modlących się nad strumykiem w miasteczku. Niektóre jaskrawości w krajobrazie pokrywają znakomicie wystudjowane świąteczne stroje żydowskie. Cena jego też 500 tal.— Na ostatku Zdzisław Suchodolski (z Dysseldorfu) przysłał wielkich rozmiarów płótno przedstawiające „Pogrzeb“, młodej zakonnicy, przy zmroku wieczornym, w cichej dolinie stromemi skałami otoczonej, za którym sunie niezmiernie długi orszak mnichów i mniszek. Grono tych postaci w fantastycznem świetle gromnic, wywiera dziwnie rzewne wrażenie — rzecby można, że to procesja duchów sunie. Jakkolwiek myśl wzięta tutaj jest nie nową, lecz wykonanie jej zasługuje na uznanie. Wysoka cena jest naznaczoną za „Pogrzeb“ bo aż 4.000 tal.

— Księgarz Kaliski p. Jakób Fingerhut zamierza wydawać poszytami Album Kalisza i jego okolic z historycznym opisem niektórych miejscowości na wzór wychodzącego już podobnego wydawnictwa w Płocku.

— W Niegolewie, w W. Ks. Poznańskiem, nastąpi d. 30. bm. odsłonięcie pomnika, na cześć Polaków poległych w sławnej szarży na wyżyny Sommo-Sierra. Pomnik postawił p. Zygmunt Niegolewski, syn Andrzeja, który jak wiadomo brał czynny udział w tej szarży, która chwałą okryła Polaków. Spodziewamy się, że z Galicji pojedzie ktoś także na uroczystość do Niegolewa. Wielkie pamiątki powinne być czczone przez reprezentantów przynajmniej tych ziem polskich, które mając jaką taką swobodę mogą to uczynić.

— W Medjolanie odsłonięto d. 31 paźdz. rb. przy placu katedralnym nową kolumnadę, której twórcą jest Mongoni. Widok tego dzieła architektonicznego jest imponujący.

— Cesarz austrjacki zezwolił na utworzenie w Peszcie muzykalno-deklamacyjnej akademji. Rząd węgierski zaproponował Liszta na prezydenta tej nowej instytucji.

— Grobowiec Szekspira w kościele farnym w Stratfordzie zniszczał już bardzo wraz z całym tym kościołem. Niedawno wolnomurarze angielscy pod przewodnictwem mistrza swego sir Eliota przedsiębrali pielgrzymkę do tego grobowca, przyczem ofiarowali farze stratfordzkiej piękne okno malowane. Na kamieniu grobowcowym, pokrywającym zwłoki wielkiego mistrza sceny, znajduje się napis przez samegoż Szekspira ułożony, a zakazujący pod grozą przekleństwa naruszenia śmiertelnych szczątków, w grobowcu spoczywających.

Podróże, odkrycia i komunikacje.

— W Szwecji, w majątku hr. Piper Engsö, znaleźli dwaj uczeni: Klingspor i Schlegel 200 dotąd wcale nieznanych listów pergaminowych, z których najstarsze sięgają r. 1300. Znaleźli oni także ważne dokumenta odnoszące się do wieków średnich.

— Profesor Voulot z Belfortu, odkrył koło Strasburga sześć sarkofagów ze szkieletami, przy których znajdujące się przedmioty świadczą o ich przedrzymskiem pochodzeniu. Między innemi były tam kamienne topory, gliniane amulety i żelazne noże ofiarne.

— Rząd rossyjski powierzył wykopanie kanału z Kronstadtu do Petersburga pp. Poteelowowi z Petersbuga i Punchardowi z Londynu. Koszta przekopu będą wynosiły 7 miljonów rubli, W ten sposób stanie się jednem z największych miast portowych.

— W Dzwiersnie pod Łobżenicą odkryto, jak donosi „Gazeta Tor.“ cmentarzysko obszaru 50 metrów wzdłuż a 20 metrów wszerz. Groby są tak podzielone, że jest ich po 4 lub 5 razem; w każdym grobie zaś było po 3 lub 4 urny. Największa część urn rozpadła się po wydobyciu; pozostały w całości tylko 3 urny, jedna z nich z uszkiem. Pokrywka jednej urny zdobna w rysunek żłobiony. W urnach prócz popiołu znaleziono szczątki ozdób żelaznych i srebrnych. Niedaleko cmentarzyska znaleziono dawniej już ślady mieszkań ludzkich. Cmentarzysko to, jak wszystkie inne, położone na wzgórzu; nie wiemy, czy w pobliżu wody, ale jest pod Dzwiersnem jezioro.

— W procesie, wytoczonym Schliemanowi przez rząd turecki, sąd apelacyjny w Atenach potwierdził wyrok pierwszej instancji. Na mocy tego wyroku, skarb znaleziony w Troi przez dr. Schliemana, będzie oceniony przez trzech rzeczoznawców, poczem Schlieman obowiązany jest zwrócić rządowi tureckiemu połowę wartości. Czytelnicy nasi przypominają sobie ze sprawozdania Dr. E. Burzyńskiego, umieszczonego w w pierwszych numerach naszego pisma, że skarb jest rzeczywiście bardzo znaczny.

— Przepyszny parowiec „Orenoque“ spuszczony w tych dniach właśnie ze sławnych warsztatów okrętowych w Ciotat a należący do spółki „Messageries Maritimes,“ jest jednym z największych francuzkich okrętów handlowych. Ma on 125 metrów długości, 12 metrów szerokości a 10 głębokości. Bierze w siebie 5400 beczek a zagłębia się w wodę na 6 metrów. Maszyna jego może rozwinąć siłę 500 koni i nadać okrętowi szybkość 20tu kilometrów na godzinę. Urządzony jest tak, że zabrać może trzystu pasażerów pierwszej i drugiej klasy i pięciuset wychodźców. Jeden szczegół wystarczy, ażeby dać pojęcie o staranności z jaką myślano przy urządzeniu jego o pomieszczeniu na żywność i zapasy. I tak w lodowni jego mieścić się będzie 30.000 kil. lodu, przeznaczonego dla uchronienia mięs i innych łatwo rozkładających się towarów od zepsucia.

Gospodarstwo.

— Tego roku tak dobre były w całym świecie urodzaje, że nawet w Anglji kosztuje korzec pszenicy tylko funt szterlingów (10 guldenów). Takiej taniości najstarsi ludzie tam nie pamiętają.

— Donosiliśmy swego czasu o czerwiu, który toczył lasy bawarskie wyrządzając szkody na miljony. Taki sam czerw pojawił się w lasach czeskich. Według ostatnich doniesień z nad granicy saskoczeskiej, wielka ta klęska nad której zażegnaniem pracowało tamże dziennie 8390 robotników, ma się nareszcie ku końcowi. Natomiast czerw pojawił się w lasach wzdłuż kolei Franciszka Józefa i w lasach gminy miasta Reichenau.

ROZMAITOŚCI.

— Znakomitego naszego pisarza, J. I. Kraszewskiego, spotkały naraz dwa zaszczyty od dwóch głów koronowanych. Najpierw królowa szwedzka (matka) przyjąwszy przysłaną jej przez p. J. I. Kraszewskiego broszurę o kongresie w Stockholmie, w której są wspomnione dobrodziejstwa, jakie królowa świadczyła wygnańcom polskim w Szwecji, poleciła mu przesłać podziękowanie i medal z wizerunkiem swoim na pamiątkę, — a następnie król włoski obdarzył go krzyżem komandorskim orderu korony włoskiej — który temi dniami miał mu być przysłany z bardzo pochlebnym listem włoskiego ministra oświecenia. Rzetelna praca i prawdziwa zasługa naszego wielkiego pisarza są więc i przez obcych cenione.

— Podajemy tu kilka ciekawych szczegółów odnoszących się do umysłowego życia kobiet islandzkich, o których bardzo mało słyszeliśmy. Islandki, powiadają podróżni, pod pewnym względem o wiele bardziej wyrównywają mężczyznom, aniżeli ich siostrzyce ze stałego lądu. Odbierają prawie to samo wychowanie, co płeć brzydka. Szkół niema wcale w Islandji i zkądżeby się wzięły w kraju tak słabo zaludnionym, że wieś ode wsi oddziela przestrzeń dwudziestu kilometrów a nawet większa. Ojciec więc jest nauczycielem rodziny i jednakie daje wykształcenie synom i córkom. Do jego nauk przydaje pastor miejscowy niejaką umiejętność łaciny i języka duńskiego. Oto cały zasób naukowy Islandki, w którym przeważną rolę grają matematyka i znajomość s a g, czyli legend dziejowych. Tak nazwane „talenta“ Islandka rzadko uprawia. Malarstwu, muzyce, tańcowi, na tej wyspie wszystko się sprzeciwia. Utrudnione środki komunikacyjne nie pozwalają zaopatrzyć się w odpowiednie materjały do malarstwa, ani przewieść fortepianu przez góry, potoki i bagna, ani urządzać zabaw znaczniejszych. Za to cnoty domowe i talenta gospodarcze posiadają Islandki w wysokim stopniu.

— Niedawno donosiliśmy o ekspedycji astronomów i uczonych francuskich, która się wybrała na wyspę Ś. Pawła dla obserwowania przejścia planety Wenus przez tarczę słoneczną. Obecnie jeden z podróżników podaje następujące wiadomości o tej wyspie, które nie powinne być bez interesu dla naszych czytelników. Wyspa Ś. Pawła leży w południowej stronie oceanu Indyjskiego, o 17 mil od innej wyspy znacznie większej, zwanej wyspą Amsterdamską. Ma ona długości około 16 do 18 kilometrów a szerokości dziewięć. Zdaje się że jest to krater wulkanu wprawdzie nie całkiem wygasłego jeszcze, ale znajdującego się w stanie spoczynku. W dzień spostrzedz można często dymy wymykające się z różnych szcelin, w nocy pokazują się niekiedy płomyki a w około bassenu, do którego zawijają łodzie, znajdują się źródła gorące których ciepłota wznosi się miejscami prawie do 100 stopni Reaum. W tych to źródłach właśnie uczeni i astronomowie należący do wyprawy gotują często ryby schwytane w bassenie, kędy wielka obfitość ich się znachodzi. Pobyt na wyspie tej bardzo przykry. Od października tylko do lutego przebywają tam rybacy z wyspy Bourbon; resztę roku wyspa stoi pustką z przyczyny ciągłych burz, wichrów gwałtownych lub potopowych deszczów.

— W Tarragonie, w Hiszpanji, nastąpiło d. 22. zm. oberwanie chmury, którego następstwem było ogromne spustoszenie. W Villella Vaja runęło 14 domów; pod ich gruzami znaleziono zwłoki kilku osób. W Monteblanco utonęło 25 robotników. W całej okolicy zaś, którą ta nagła klęska nawiedziła, zostały pola do szczętu zniszczone a domów zawaliło się w ogóle przeszło 200. Przy tej sposobności utonęło także 27 karlistów, którzy patrolowali na koniach. Ta ostatnia strata będzie ponoś najmniejsza dla Hiszpanji.—Nie równie straszniejszy orkan nawiedził 22go i 23go września rb. chińskie miasto Hongkong. Kilka okrętów w porcie utonęło, kilkaset domów runęło, a ludzi zginęło przeszło 1000. W tym samym czasie trąba morska na południowych brzegach Japonji zburzyła przeszło 1000 statków i 6000 domów.

— Z Ameryki dochodzi nas fakt, świadczący korzystnie o wdzięczności tamtejszego społeczeństwa dla prac i zasług autora, który poetycznemi utworami swojemi wpływa bardzo zbawiennie i korzystnie na rozwój dziecięcej wyobraźni. Znany poeta duński Anderson, od dawnego już czasu stał się ulubieńcem dziatwy amerykańskiej; mianowicie jego opowiadania i baśnie są najmilszą jej lekturą. Otóż niedawno temu, poruszono myśl okazania publicznej wdzięczności dla Andersona i wezwano dziatwę, aby z własnych pieniędzy złożyła fundusz i wysłała takowy w formie prezentu dla swojego, mieszkającego w Danji, przyjaciela. Głównym powodem do tej demonstracji był artykuł w dzienniku „New-York-Tribun“, opisujący z radością powrót do zdrowia poety, po długiej a ciężkiej chorobie i zarazem wzywający publiczność aby autorowi, którego dzieła rozchodzą się tysiącami egzemplarzy po całym kraju, a który ani jednego grosza honorarjum za swoje prace nie otrzymał jeszcze od żadnege amerykańskiego wydawcy, w sposób o ile można najgodniejszy, niesprawiedliwość tę wynagrodzić. Wspomniany artykuł dobrze został od publiczności przyjęty, a gdy do tego objawiły się głosy, iż Anderson złamany chorobą, nie jest w stanie na utrzymanie życia zapracować i znajduje się obecnie w ciężkiem materjalnem położeniu, niezwłocznie wzięto się do wprowadzenia go w wykonanie. Pierwszą wysyłką był rozrzewniający list, jaki jedna mała dziewczynka do poety wysłała, wraz z jednym dolarem, stanowiącym całe jej mienie. Później, wydawca D a i l i E v e n i n g B u l l e t i n zebrawszy mnóstwo drobnych kwot pieniężnych od dzieci z rozmaitych okolic Ameryki, wysłał do ich starego przyjaciela z tem życzeniem, aby za pośrednictwem tych serdecznych ofiar, mógł się otoczyć komfortem, jaki mu zapewne jest niezbędnie potrzenyem. Anderson rozczulony do głębi duszy, odpisał zaraz wydawcy E v e n i n g B u l l e t i n, iż przyjmuje z radością ten dowód współczucia dla siebie młodzieży amerykańskiej i zarazem sprostował wieści polegające niezawodnie na nieporozumieniu, co do jego wrzekomo ciężkiego materjalnego położenia.

— Jeden z dzienników amerykańskie, podaje z Newady następującą wiadomość o straszliwym zgonie pewnego wynalazcy. Jonatan Newhouse wymyślił słońcochron i próbując go w najnędzniejszy sposób pozbył życia. Słońcochron ów, była to zbroja, utworzona ze szczelnie przystających do siebie pospolitych gąbek a okrywająca całe ciało. Głowę osłaniał hełm podobnej budowy. Pod pachami znajdowały się dwie napełnione wodą bańki, z których przez naciśnięcie za pośrednictwem kiszki woda dochodziła do hełmu i ztąd rozprzestrzeniała się po całym przyrządzie, a więc ochładzała całe ciało. W ten słońcochron ubrany Newhouse postanowił zbadać straszliwie gorącą, piasczystą i słoną pustynię we wschodniej Newadzie, zwaną „doliną śmierci“, w której wedle tradycji niezmierne skarby ukrywać się mają. Przed udaniem się na wyprawę, gąbkowy pancerz i hełm zmoczył wynalazca obficie, a także i bańki napełnił wodą i pewnym był, że tym sposobem, za pomocą wilgoci i parowania zdoła wytworzyć w około siebie dostatecznie chłodną atmosferę. Wybrał się więc w tę niebezpieczną drogę — ale nie powrócił. Na drugi dzień przybył Indjanin jakiś do namiotów przyjaciół wynalazcy i oświadczył, że znalazł zwłoki białego człowieka w „dolinie śmierci“. Zebrani podążyli za nim na wskazane miejsce i znaleźli genjalnego wynalazcę bez ducha — zmarzłego na śmierć! Brodę jego mocny szron pokrywał, długi na stopę sopel zwisał mu od nosa, chociaż słońce piekielny żar na niego rzucało. „Słońcochron“ nie zawiódł, owszem tyle dał chłodu ze siebie, że nieszczęsny wynalazca wśród atmosfery utworzonej przez przyrząd, zesztywniał zupełnie, tak że się z miejsca ruszyć nie mógł i tym sposobem przy 40 stopniach gorąca w cieniu nędznie zamarznąć musiał. — To mi się nazywa amerykańska kaczka!...

— Nadzwyczajne zjawisko fizjologiczne objawiło się w Antwerpji, podczas choroby 19-letniej Emilji Bernard, zmarłej następnie. Oto co o tem powiada „Echo de Bruxelles“: Od dwóch lat cierpiąca leżąc w łóżku straciła w tym czasie wzrok, mowę, oraz apetyt. Zdarzały się perjody po parę miesięcy, w których żyła, nie przyjmując literalnie pokarmu do ust! Przed paru tygodniami zakończyła życie od krwiotoku, który objawił się w końcach palców rąk i nóg. Żyła w tym stanie do ostatniej godziny, przyczem przed skonaniem odzyskała wzrok i mowę. Zgon jej nie miał oznak najmniejszego cierpienia. Wypadek ten jakkolwiek zadziwiający jest niczem w porównaniu do innego, nad którym suszą od dawna głowy rzeczoznawcy paryskiej akademji medycznej. Mówimy tutaj o słynnej dziewczynie z Saucourt, która w miesiącu wrześniu 1871 już dwanaście lat nic nie jadła i nie piła. Fenomen ten jakoby ma trwać dotąd. Są to cuda fizjologiczne, które wprowadzają na domysł, że organizm ludzki przy pewnych warunkach zewnętrznych ulega tym samym prawom, co i u zwierząt niższego ustroju. Któż nie słyszał o żabach, znajdowanych w murach po paru set latach przy życiu? Niezawodnie, gdyby nauka pochwyciła tę tajemnicę i pozwoliła z niej korzystać każdemu, pożycie ludzi na ziemi stałoby się istotnie niebiańskiem; ciekawa tylko rzecz — co poczęliby wtedy z sobą smakosze i kucharki?

— Zapewne pięknym paniom nie wiadomo, zkąd pochodzą owe olbrzymie szynjony wszelkich barw i rozmiarów, z których one tyle pysznego zadowolenia a fryzjerzy tak świetne korzyści odnoszą. Otóż szynjony te, a przynajmniej większa ich część, zdobiła niegdyś głowy egipskich Fakirów. „A jak to było, opowiem“. Indjanie, zarówno mężczyźni jak kobiety, mają zwyczaj odbywać tłumne pielgrzymki do Allahabad, blisko Kalkutty, i tam składać na ofiarę Bogu Brahmie, jakoby na pamiątkę odwiedzin, czupryny swoje różnych kolorów i rozmiarów. Dar ten rozwiesza się na umyślnie w tym celu przygotowanych drążkach — w świątyni. Naturalnie, kapłani starają się pozbyć tych osobliwych ofiar z któremi nie wiedzą co robić — tem więcej, że za rok znowu ich gromada przybywa. Zawsze znajdowali się kupcy, którzy te włosy za tanią cenę nabywali i pakami odsyłali do Europy. W krótce jednak postrzegli się kapłani, że o wiele zyskowniej będzie przedawać te ofiary en bloc. Ustąpili tedy umyślnie w tym celu utworzonej spółce prawo zabierania każdorocznie czupryn pobożnych pątników, za co spółka płaci im na rok sumę 400 rupij (około 1000 fr.) Jeżeli powiemy, że ilość pielgrzymów odwiedzających corocznie Allahabad przechodzi 200.000, to łatwo będzie pojąć, co za niezmierne zyski spółka owa odnosi!

— Mimo atmosfery praktycznej, która dziś świat dokoła oblała, od czasu do czasu wydarzają się jeszcze fakta, świadczące głośno, że w pewnych warunkach człowiek może w idealnych porywach zajść aż do tych granic, od których zaczyna się najoczywistsze szaleństwo. Dowodem na to następujące wydarzenie opowiedziane w jednym z ostatnich numerów paryskiego dziennika „National“: „Wczoraj nad wieczorem przyprowadzono do doktora Larsegue, który jest lekarzem przy prefekturze policji, młodą dziewczynę, nazwiskiem Margeryta Beliet, która w sposób rzadki i prawdziwie poetyczny usiłowała odebrać sobie życie. Zdradzona przez niewiernego kochanka, zakupiła wielką ilość kwiatów najbardziej pachniących, a rozrzuciwszy je po całym pokoju i pokrywszy niemi łóżko, napisała ostatni list do wiarołomnego, a potem spać się położyła. Nazajutrz w południe, odźwierny nie mogąc się dopukać otworzył drzwi swoim kluczem. Na łóżku dziewczyna leżała bez przytomności. Dzięki zabiegom kilku lekarzy, powiodło się przywrócić ją życiu, ale niestety pomięszanie biednej dziewczyny było już zupełne. Wyobraża ona sobie, że rozstawszy się z tym światem, została przeniesiona do królestwa pełnego kwiatów. Jej monarchinią jest teraz róża, a miłośne przymilenia motylów łzy z jej oczu wyciskają. Opowiadając to, dodaje: — „Przypominam sobie że i ja kochałam motylka, ale on odleciał!“ — Po tych słowach błękitne jej oczy łzami się zalewają. Biedne dziewczę odwieziono do domu obłąkanych.“ Jakiż to prześliczny temat dla poety!

Odpowiedzi Redakcji.

E. K. w Borowie. Czyniąc zadość żądaniu wielu naszych czytelników, którzy w tej sprawie do nas już pisali, postanowiliśmy wydać wszystkie dzieła Józefa Dzierzkowskiego w ciagu r. 1875. Zeszyty będą zatem wychodziły nie co dwa tygodnie, ale co 1 0 d n i i takiej objętości, że wszystkie powieści pomieszczą się w 3 6 z e s z y t a c h. Kwartalnie będzie zatem wychodziło 9 a nie 6 zeszytów. Stosownie do tego postanowienia, zmieniliśmy na dzisiejszej okładce warunki prenumeraty. W jednym miesiącu, jak to Pan sobie życzy nie sposób wydać 8 dużych tomów, a prócz tego nie wiemy czy czytelnicy byliby zadowoleni, gdyby im naraz przyszło zapłacić 10 guldenów. Czy nie lepiej uiszczać częściowo tę kwotę? Tyle w odpowiedzi na pańską propozycję.

M. w Tyczynie. Zgadzamy się najzupełniej.

W. w Bochni. Dziękujemy za ciekawe szczegóły, któreśmy właśnie otrzymali. Brak miejsca nie pozwolił nam jednak skorzystać z nich w tym numerze. Nastąpi to w przyszłym tygodniu. — Lwowskie Towarzystwo techniczne wydaje fachowy dwumiesięcznik. Dotąd wyszedł jeden numer.

Wszystkich pp. Autorów i nakładców, którzy życzą sobie, by o dziełach przez nich wydawanych, były umieszczane recenzje w naszem piśmie, upraszamy o przysyłanie nowości wprost do Redakcji.

— Manuskryptów redakcja nie zwraca, z wyjątkiem tych, których zwrot autor sobie zastrzeże.

Treść Nr. 10.

O ogródkach Froeblowskich, przez Czesława Pieniążka; *Serce i ręka*, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.); *Obrazy z Anglji*, przez Sewera (c. d.); *Studja o sztuce w Polsce* przez Józefa Rogosza (dok.); *Żona poległego*, nowella Jokai'a (dok.); *Moi synowie*, Wiktora Hugo tłum. Wł. Ordona (c. d.); *Pamiętniki z r. 1831*, Ignacego hr. Komorowskiego (c. d.); *Gladjator i Niewolnica*, wiersz Wł. Kulczyckiego; *Pogadanka* Jana Lama; *Podróże do bieguna północnego*, przez L. Tatomira (c. d.); *Piśmiennictwo polskie*, dokończenie, przez Teofila Szumskiego; *List z Warszawy III.* przez Wieniawę; *Ze świata naukowego*, przez Dr. W. Urbańskiego i Jana Lama; *Bibliografja.* — *Wiadomości ze świata.* — *Rozmaitości.* — *Od Redakcji.*

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.